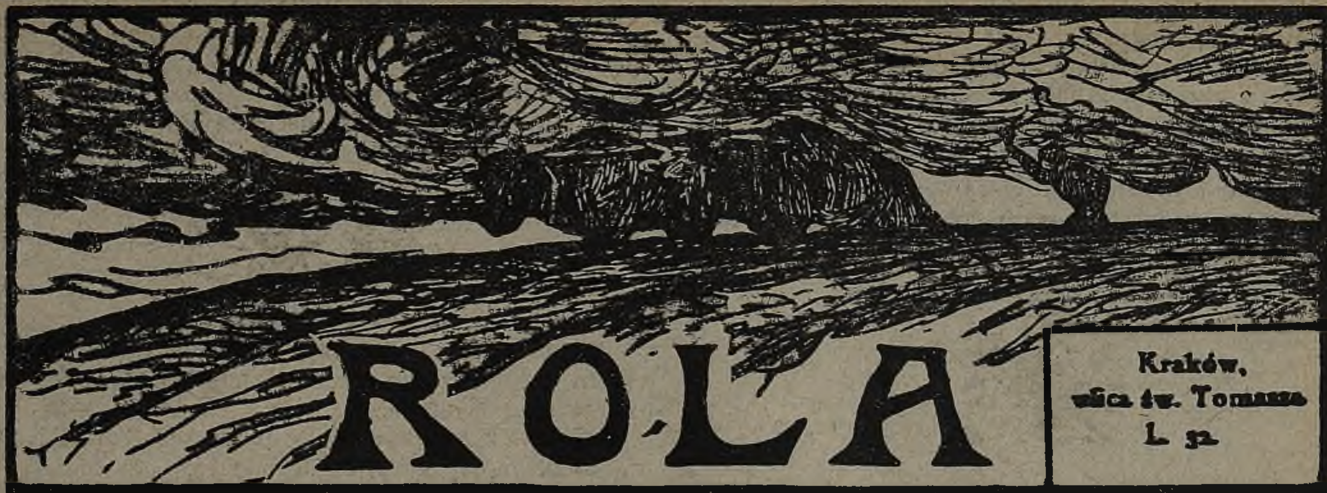
Numer 43. Nal. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 26 Października 1930



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Różnica.

Pewien gospodarz zaszedł w mieście do cyrulika żyda, aby go ogolił. Widząc, że żyd zabierając się do golenia pluje na mydło i niem gębę naciera, rzecze: A nie możecie to jako inaczej robić?

— To też ja innym — odpowie żyd — pluję prosto na gębę i mydłem rozcieram, ale widzę, żeście porządny gospodarz, to wam robię inaczej, żebyście się nie brzydzili.



W polu.

Żołnierz stojący na pikiecie w czasie wojny, położył się i zasnął, podczas gdy jego towarzysz czuwał. Wtem nadbiegła kula armatnia i odcięła mu głowę.

— Do kroćset djabłów! — rzekł czuwający żołnierz — to się dopiero biedak zdziwi, jak się ocknie, że niema już głowy.



Przy wyjściu z karczmy.

Gość (zataczając się z trzema towarzyszami): Ile się należy?

Gospodarz: 6 złotych 15 groszy.

Gość: Cóż u licha? nas tylko czterech, a taki ogromny rachunek.

Gospodarz: Boście zapomnieli o tych pięciu, co leżą pod stołem.

Kto silniejszy.

Wojtek: Wiesz ty, Bartku, dlaczego pies rusza ogonem?

Bartek: Pies rusza ogonem dlatego, bo jest od niego silniejszym, gdyby zaś ogon był silniejszym od psa, toby ogon nim ruszał.



Niepoprawny.

Sędzia (do żebraka): Jesteście skazani na 24 godzin aresztu za to, że chodzicie po kweście, choć to jest niedozwolone.

Żebrak: Przepraszam pana sędziego, czybym nie mógł mojej kary dopiero jutro odsiedzieć, bo dziś jest piątek, a w piątek nasze interesa najlepiej idą.



Uczył Marcin Marcina.

— Aj ci uczeni, ci uczeni! — rzekł Marcin do Marcina — pomyśl sobie tylko, oni już naprzód wiedzą, kiedy ma być zaćmienie słońca i księżyca.

— Ej głupi jesteś — odpowiedział ten drugi Marcin — cóż to znowu tak wielkiego? Oni przecie to wiedzą z kalendarza.



Lokator wpada z krzykiem: Cóż to za mieszkanie pan mi wynająłeś! W piwnicy pełno wody!

Gospodarz: A czy paneś się spodziewał wina?

Numer 43. Rok XIII. Kraków, dnia 26 października 1930.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1930: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz. półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy, Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« Kraków, ulica św. Tomasza 32.

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

O zgodę w narodzie.

Cały świat przeżywa kryzys gospodarczy, jakiego od wielu lat nie było. Nędza powojenna rozgościła się nietylko w Europie, ale i we wszystkich krajach pozaeuropejskich. Brak pracy, a przytem drożyzna przyciskają coraz bardziej ludzi, że nie wiedzą już, gdzie mają szukać ratunku. Liczba bezrobotnych wzrasta z dniem każdym. W takiej Ameryce, która olbrzymiej liczbie wychodźców dawała ongiś zatrudnienie, dziś do 7 miljonów ludzi nie ma zajęcia. W Niemczech 3 miljony ludzi jest bez pracy, w Anglji liczba ich przekroczyła już dwa miljony. Nic też dziwnego, że kryzys ten nie ominął i Polski. Nie przybrał on jednak takich rozmiarów, jak gdzieindziej, ale jest i trzeba bardzo uważać, aby się jeszcze nie powiększył. Walczy z nim rząd polski i walczy znaczna część rozsądnego społeczeństwa.

Ale to mało! Chcąc ten kryzys gospodarczy pokonać, powinniśmy wszyscy skupić się do walki z nim, popierać się wzajemnie i iść wspólnie do zwycięstwa. A tu tymczasem co się dzieje? Rozbici na partje i partyjki całą swą siłę zużywamy na walki wewnętrzne, na szkalowanie się wzajemne, na podstawianie sobie nogi na każdym kroku. To wszystko zaś prowadzi do jeszcze większego upadku.

Kryzys gospodarczy, to jeden wróg, przed którym powinniśmy się bronić całemi siłami, ale czyha na nas jeszcze wróg inny, zewnętrzny od zachodu t. j. Niemcy. Jak wiadomo, odbyły się tam niedawno wybory do parlamentu, z których wyszło aż 107 narodowych socjalistów tak zwanych Hitlerowców, którzy otwarcie dążą do wojny odwetowej z Polską. Ci głoszą to otwarcie, inni od najskrajniejszej prawicy do najskrajniejszej lewicy marzą o tem w głębi ducha, czy to członkowie centrum katolickiego, czy socjaliści niemieccy, czy inni. Z tamtej strony grozi nam niebezpieczeństwo większe od niebezpieczeństwa wewnętrznego.

A my co? My się kłócimy, a nawet na listach wyborczych do sejmu polskiego stawiamy kandydatury niemieckie. Ci, co to zrobili, tłomaczą, że my, dając przy wyborach głosy na Niemców, uzyskamy nawzajem na polskich kandydatów głosy niemieckie. Jest to tylko złudzenie i nic więcej, gdyż nie znajdzie się ani jeden Niemiec, któryby choćby na listę mieszaną oddał swój głos przy wyborach. Niemcy pójdą ławą za swoimi. A my się kłócimy!

A tymczasem trzeba nam zgody, zgody i jeszcze raz zgody! Ot teraz zbliżają się wybory, staną przed nami kandydaci różnego pokroju; staną tacy, których samo społeczeństwo na czoło narodu wysuwa, ale staną i karjerowicze, którym się o nic nie rozchodzi, jak o własne korzyści. Staną zwolennicy Marszałka Piłsudskiego, staną i jego przeciwnicy. Zwrócą się po głosy nasze członkowie rozmaitych stronnictw. Trudno, niema kraju, w którymby nie było stronnictw, w którymby myśl jedna panowała, więc i u nas inaczej być nie może. Są stronnictwa i każde z nich ma mniej lub więcej zwolenników, którzy przy wyborach oświadczą się za kandydatami danego stronnictwa. I inaczej być nie może; to każdemu wolno. Kto więc wierzy, że pod rządami Marszałka Piłsudskiego Polska najprędzej potrafi przezwyciężyć wewnętrzny kryzys gospodarczy i obronić się przed wrogimi nam sąsiadami z zachodu i wschodu, ten niech odda głos na Listę Nr 1, kto wierzy, że najszybciej i najpewniej cel ten osiągną socjaliści, niech głosuje na jedną z list socjalistycznych 2 lub 7. Kto jest antysemitą, niech poprze listę 21, a kto narodowym demokratą, listę Nr 4. Każdemu wolno to uczynić, boć jest panem własnej woli. Ale gdy przyj-

dziemy na zgromadzenia wyborcze, to zachowujmy się na nich, jak ludzie. Nie rzucajmy na przeciwników naszych oszczerstw, ale walczmy uczciwymi sposobami. Przekonujmy innych prawdą słów naszych, przekonujmy ich czynami naszymi. Nie idźmy w ślady tych pismaków gazeciarskich, którzy co dwa słowa napiszą, to trzy razy skłamią.

Nie naśladujmy tych polityków zawodowych, którzy na kłamstwie wyrośli, kłamstwem żyją i z kłamstwem na ustach skończą. Bo kłamstwo jest hańbą ludzkości. A niestety kłamstwo dziś tak się w gazetach politycznych rozwielmożniło, że nawet człowiek, który dobrze orjentuje się w sytuacji, zaledwie z trudem odróżnia ziarno od plew. Kłamstwo, rzucone pod adresem bliźniego, wypływa z nienawiści ku niemu, a nam nie nienawiści potrzeba, ale zgody wzajemnej. Bo tylko zgoda i miłość mogą doprowadzić ludzkość do szczęścia.

O ile się więc znajdziemy na zgromadzeniu wyborczem i będziemy chcieli zabrać głos, to niechże z ust naszych popłyną tylko same słowa prawdy. Nie powtarzajmy nieuzasadnionych podejrzeń na naszych bliźnich, nie zarzucajmy im win, jeżelibyśmy nie mogli stwierdzić pod przysięgą, że oni te winy popełnili. Cześć komuś odebrać bardzo łatwo, ale przywrócić ją trudniej.

Ileż to razy zdarza się, że zgromadzenia przedwyborcze kończą się bijatykami i krwi rozlewem. Nie bierzmy w tem udziału! Bo i cóż przeciwnik nasz polityczny temu winien, że ma inne przekonania. Wszak mu je mieć wolno. Może został przez naganiaczy partyjnych obałamucony? To jego nieszczęście. I zatoż go mamy bić, lub mu wymyślać? Jeżeli tobie wolno głosować nawet na Niemca, Rusina, czy Białorusina, to dlaczegóż jemu ma być niewolno oddać głosu na socjalistę, endeka, chadeka, czy zwolennika obecnego rządu? Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi. Przekonywać go uczciwie można i na swą stronę przeciągnąć, ale siłą ograniczać jego wolności nam nie wolno.

W walce wyborczej, bo ta być musi, kierujmy się nie nienawiścią, ale miłością, bo tylko wówczas będziemy sobie mogli wywalczyć lepszą dolę dla nas samych i dla następnych pokoleń.

Astry w mej pracowni...

Kwitną mi czarem kolorowe astry —
słońce w zachwycie do nich się uśmiecha,
i w odwiedziny śle swój promień jasny,
który drga słodkiej pieszczoty uciechą...

Wśród stosu książek, szkiców i notatek
dumnie się wznoszą astry kolorowe —
Słońce przez szybę muska każdy kwiatek,
miląc mi blaskiem tryb życia surowy...

Kiedy wieczorem wszystko ścichnie senne,
a ja wśród notat szperam zamyślona —
chylą się do mnie kwiatuszki jesienne,
jakby mi podać pragnęły ramiona...

O, kwiaty piękne! astry kolorowe
dużoście myśli moich podzielały —
tęsknot i marzeń w nocy księżycowe,
gdy jasne gwiazdy niebosklon usiały...

Maryla „Widz".

MAURYCY JOKAY.

W tajemniczej ziemi złota

Powieść tłómaczona z węgierskiego przez K. Górskiego.

Teraz dopiero generał Weljaminow uświadomił sobie skutki katastrofy. Żaden wróg nie był w stanie zadać armji rosyjskiej takiej klęski, jaką zadała jej ta powódź.

— Przeklęty kraj — warknął generał i z wściekłości bił nogami, jak gdyby tę przeklętą ziemię, na której stał, chciał rozdeptać.

Widział, jak reduty nie do zdobycia i zbudowane z ogromnemi kosztami, waliły się w wodę jedna za drugą, jak wściekły prąd zabiera z sobą wszystko, co mu stało w drodze. I nawet olbrzymie kawały ścian grodowych znikały, niby lekkie trzaski.

A szczególnie straszny los czekał żołnierzy, znajdujących się w różnych miejscach w lesie, na skałach i w odległych strażnicach. Niejeden żołnierz trzymał się ściśle rozkazu, który powiada, że bez pozwolenia przełożonego nie wolno mu opuścić zajmowanego stanowiska i wołał zginąć w falach, niż nie usłuchać przepisów.

Przeważna część wojska z przerażeniem uciekała ze swych stanowisk i szukała schronienia na miejscach wyższych. Ze wszystkich stron słyszeć można było rozpaczliwe krzyki tonących.

Sceny, tu się odgrywające, przypominały zupełnie owe biblijne sceny, które odgrywały się tam w środku morza Czerwonego wśród wojsk egipskich, ścigających żydów i nagle zalanych przez morskie fale.

Wszystko uciekało w nieporządku; człowiek i koń uciekał z przerażeniem przed strasznemi wodami, a te z djabelskim chichotem rzuciły się na kraj, jak gdyby daleka ich królowa obdarzyła je wściekłością i szatańską złością, bo na jej to rozkaz rozszalałe rzuciły się w pogoń za zbiegiem.

Żołnierze i konie, uciekając przed zagładą, gromadziły się koło wyżej położonych budynków, ale ledwo się tu usadowili, ledwo rozglądnęli się koło siebie, już nowy prąd wody porwał wszystkich z sobą i razem z budynkiem.

Również i tych, którzy stali w samotnych warowniach, dosięgła katastrofa; nagromadziło się tu ludzi niby mrówek, bo każdy, kto tylko mógł, tu szukał ratunku. Ale nawet i olbrzymie mrowisko nie długo opierało się rozpętanemu żywiołowi, niszczył on wszystko, co znalazł w drodze, jak gdyby miał taki rozkaz.

A woda spełniała swoje polecenie z bezwzględną dokładnością. Generał Weljaminow dobrze ze swojego muru widział, że wody w każdej sekundzie rosną, co kwadrans fale podnoszą się o dwa i trzy metry. Całowały już tę najwyższą ścianę forteczną, na której stał naczelny wódz wojsk rosyjskich.

Na łeb na szyję czyniono zabiegi, jakie tylko jeszcze można było wykonać, aby ratować wojsko i umieścić zapasy żywności i materjału wybuchowego na bezpiecznem miejscu. Ale wszystko to jednak było daremnym wysiłkiem, wyglądało to tak, jak gdyby małe robaczki toczyć chciały walkę z falami.

Rozjuszone wody atakowały mury twierdzy, waląc w nie dziesięciocentnarowemi kamieniami.

Wkońcu woda wtargnęła i do magazynów, zalała ganki podziemne twierdzy, rozmoczyła proch, prze-

biła się i przez te najsilniejsze wały, rozniosła granaty i armatnie kule, ułożone tu w piramidach, zerwała dachy domów, i wszystko to pogrążyła w swych mętnych nurtach i unosiła z sobą.

Z ogromnym wysiłkiem udało się generałowi Weljaminowi uratować przynajmniej załogi redut, wyżej położonych, znajdujących się bliżej morza.

Rzeczywistem szczęściem można to nazwać, że już przedtem zbadano okolicę i znaleziono drogę, prowadzącą w stronę naprzeciw leżących gór. Ta droga i szczyty gór dały schronienie większej części wojska generała, które tu uszło przed pewną zagładą.

Żołnierze rosyjscy uciekali i ciągle się oglądali na opuszczone Suczuk-Kaleh, które przed ich wzrokiem ginęło w falach. Jeden mur za drugim pogrążał się w nurtach, a tylko wysoka wieża na pałacu, w siedzibie generała, jeszcze walczyła z falami na śmierć i życie, jak gdyby chciała uratować rosyjski sztandar, na niej powiewający.

Tak dokonało się straszne dzieło pomsty, tak zapoczątkowało się i dzieło obrony, które królowa Alhazira rozpoczęła swym dziwnym rozkazem:

— Bóg Daal nie śmie być poniżony.

Nim nadszedł wieczór następnego dnia z ludnych twierdz i olbrzymich wałów koło Suczuk-Kaleh nie pozostało nawet pamiątki. Nawet ten najsilniejszy wróg nie mógłby dokonać takiego dzieła zniszczenia, chociażby miał do dyspozycji niezliczone najlepsze armaty.

Generał Weljaminow poniósł straszliwą klęskę. Nagle i bez obrony musiał porzucić swoje pozycje. A co było najgorszem — szyki jego wojska strasznie się przerzedziły. Wódz ten zahartowany w bojach rozpłakał się, kiedy po szczegółowem policzeniu żołnierzy drugiego dnia wieczorem doniesiono mu, że trzecia część żołnierzy znalazła śmierć w rozszalałej wodzie.

Tak pomścił się bóg Daal na tych, którzy przyszli z dalekich krajów, aby odkryć jego tajemnicę, aby go zniszczyć.

Już jednak w następnej nocy woda zaczęła gwałtownie opadać, a w korycie Szemeszy znów pojawiła się taka sama woda, która znajdowała się tu już przedtem. Rzeczywiście podziwiać trzeba było tę szybkość, z jaką wody znikały. Do rana pozostały już tylko kałuże błota, ruiny budynków i redut.

Nie na tem był koniec nieszczęścia, chociaż powódź zniknęła i chociaż rzeka wróciła znowu do swego koryta.

Jak już o tem wspominaliśmy, wszystkie zapasy wojska uległy zniszczeniu, magazyny zburzeniu, a o szybkiem zdobyciu nowych zapasów nie można było myśleć.

Możeby i brak środków żywności potrafiło wojsko rosyjskie przetrzymać.

Ale gorzej jeszcze, bo nie było prochu do karabinów i armat, woda doszczętnie zniszczyła wszystkie zapasy amunicji.

Cała armja znajdowała się w posiadaniu kilku naboi, które żołnierze zdołali uratować. Z tylu nabojami nie można było myśleć o walce z wrogiem.

Rzeczywiście obecna sytuacja Rosjan była więcej niż fatalna.

Generałowi nie pozostało nic innego, jak pomyśleć o zupełnym odwrocie, jak uciec z tego przeklętego kraju, a wkroczył tu kołysany tylu nadziejami, marzył o wielkich zwycięstwach, tymczasem tyle ofiar i to w tak dziwny sposób poniesionych, a żadnych korzyści.

Ale i odwrót z tej nieszczęsnej krainy połączony był z nadzwyczajnemi trudnościami.

Czerkiesi bardzo dobrze to zrozumieli, że rosyjskie wojska, ich zacięty wróg, znajdują się w fatalnej sytuacji, ten wróg, który przyszedł tu do ich kraju, aby ugruntować swoje panowanie.

Katastrofa, która nawiedziła armję rosyjską, dodała im nowej odwagi i gdzie tylko mogli, napadali na Rosjan, zadając im wielkie straty.

Okoliczne lasy aż roiły się od Czerkiesów i biada było temu żołnierzowi, który odważył się zejść z gór, aby szukać pożywienia.

Resztki wielkiej armji generała Weljaminowa przepędziły w niepewności kilka dni w górach. A do tego w trzecim dniu po katastrofie zjawił się wśród żołnierzy straszny gość — kaukaska febra.

Teraz już Weljaminowi nie pozostało nic innego do roboty, jak za każdą cenę utorować sobie odwrót z tego przeklętego miejsca.

Zdrowych żołnierzy odpowiednio rozstawiono, wyposażono resztkami nabojów i ruszono do doliny, gdzie trzeba było sobie torować przejście przez szeregi Czerkiesów.

Stoczono ostatnią bitwę, z której zmordowany i wyniszczony żołnierz jednak wyszedł zwycięsko — bezpłodne były wysiłki, podejmowane przez Czerkiesów, aby ustępującym Rosjanom odciąć drogę. Musieli cofnąć się, pokonani na głowę i to przed wojskiem nie posiadającem prochu i idącem na wroga z bagnetami i szablami.

Naturalnie zwycięstwa tego, odniesionego dzięki wytężeniu wszystkich sił, generał Weljaminow nie mógł odpowiednio wykorzystać, nie mógł znowu zająć tych pozycyj, skąd napędziła go niszcząca powódź.

Z piętnastu tysięcy ludzi przyprowadził generał Weljaminow do Anapy zaledwo pięć tysięcy — inni padli bądź w walce z Czerkiesami, bądź zginęli podczas powodzi, albo zjadła ich febra kaukaska.

Suczuk-Kaleh i cała jego okolica opustoszała i osamotniała.

* * *

Ale jeszcze nim generał Weljaminow kraj ten opuścił, doczekać się miał ciekawej niespodzianki.

Ostatnią bitwę z Czerkiesami Rosjanie wygrali i mogli teraz spokojnie cofać się, bo drogi były bezpieczne.

Pełen smutku wzrok Weljaminowa błądził po stopionych szeregach żołnierzy, zupełnie wycieńczonych i wymęczonych, gdy w tem przystąpił do niego adjutant i meldował:

— Panie generale! muszę coś ważnego donieść: żołnierze ci, co w nocy stali na wysuniętych placówkach, znaleźli coś ciekawego, chcę też rzecz tę oddać!

— Cóż to takiego? — zapytał się generał.

— Jest to rzeczywiście rzecz nadzwyczajna — mówił adjutant — jest to wielka deska, do niej przywiązana jakaś czerwona szmata, coś ochraniająca, a na niej znajduje się gwiazda rosyjskiego orderu!

— Co, gwiazda orderu?

— A tak, gwiazda, którą może nosić tylko rosyjski oficer, odznaczony nią w wojnie — zapewniał adjutant — a do tego nie było u nas w ostatnim czasie oficera, oprócz pana, panie generale, któremuby wolno było nosić takie odznaczenie.

— Aha, mieliśmy jednak jednego, ale ten już dawno odszedł, uciekł... ta przeklęta ziemia i jego zażądała w ofierze — odrzekł generał, a twarz jego po-

wlókł smutek, na czole pojawiło się zamyślenie — po chwili opamiętał się prędko i zapytał:

— W jaki sposób rzecz ta dostała się w ręce naszych przednich straży?

— Prawdopodobnie ostatnia powódź przyniosła to z nieznanych stron — odrzekł adjutant.

— Niechaj mi żołnierze deskę przyniosą — rozkozał generał, zsiadł z konia, co wskazywało na jego znaczne podniecenie.

Adjutant zasalutował, odszedł i po chwili przyprowadził dwóch żołnierzy, jeden z nich niósł na ramieniu wielką i ciężką deskę, a w jej środku znajdowało się bardzo starannie przymocowane zawiniątko z czerwonej materji, zupełnie zbrudzone od błota.

Zaraz na pierwsze wejrzenie można było poznać, że deska służyła do tego, aby zawiniątko, zawierające jakieś rzeczy, mogło płynąć z wodą. Wszystko zaś tak było urządzone, i zawiniątko tak do deski przymocowane, aby deska ze swym ładunkiem nie poszła na dno.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Dziwna choroba i dziwne lekarstwo.

(Humoreska).

Pan Paweł Imbierowski, dorobiwszy się znacznego majątku przez handel, kupił sobie wieś i ożenił się wprawdzie z ubogą, ale przytem cnotliwą i prześliczną panienką. Zdawałoby się, że pan Paweł powinien być szczęśliwym. Miał wieś i jeszcze sporo pieniędzy w biurku, żona kochała go nad życie, sąsiedzi szanowali a przytem cieszył się dobrem zdrowiem. Istotnie pewien czas Imbierowski żył bardzo szczęśliwie, ale jakoś po roku pobytu na wsi czuł się nieszczęśliwym. Tracił apetyt, zaczął się nudzić, był jak to powiadają, nieswój — a czarne myśli wciąż mu dokuczały. Coprawda — nie było się czemu dziwić, gdyż pan Paweł niczem się nie trudnił, tylko jadł i pił, dlatego ociężał, stracił apetyt, nie mógł sypiać i nie czuł się swobodnym. Praca najlepszem lekarstwem na wszelkie troski, nudy i czarne myśli.

Na dobitkę Imbierowski miał razu pewnego sen bardzo dziwny. Śniło mu się, że jakiś olbrzym, wysoki niby 20 kościołów, uchwycił go i zaniósł na księżyc, a tam w złotej księdze było napisane, że 24-go sierpnia roku bieżącego o 12 godzinie w południe Paweł Imbierowski życie zakończy. Pan Paweł wziął to sobie tak do serca, że naraz się położył do łóżka i na dobre zachorował. Zaczęli się zjeżdżać lekarze, zapisywali leki, kiwając głowami, ale choroba ustąpić nie chciała.

Zbliżył się nakoniec 24-ty sierpień.

Imbierowski zrobił dzień poprzednio testament, gdyż był pewnym, że nazajutrz życie zakończy.

Po jedenastej godzinie w południe zabrzmiała trąbka pocztowa, znać przybył gość w odwiedziny. Imbierowski zaczyna się niecierpliwić, wkońcu prosi lekarza, aby poszedł się przekonać, co się tam dzieje. Doktor wraca niedługo i powiada, że w pokoju jest przystojny ułan, który oświadczył, że zaczeka na śmierć pana Pawła, a potem przyjdzie mu oczy zamknąć...

Imbierowski wpadł w wściekłość.

— A to mi śliczne rzeczy — krzyknął — ja mam wkrótce umierać, a ci ze mnie żarty stroją...

Niewiele się namyślając, wyskoczył szybko z łóżka, niby zając, wdział na siebie jakąś opończę i dalej do salonu. Tu widzi ułana, siedzącego na kanapie i trzymającego w dłoni rączkę jego żony...

— Co to ma znaczyć! — ryknął pan Paweł — ja mam za chwilę umierać, a ty żono wdajesz się w jakieś romanse... Mój panie, coś pan za jeden i co tu chcesz? Proszę, zaraz z mego domu się wynosić!

— Mój panie, proszę się uspokoić — zawołał ułan. — Otóż ja kochałem pańską żonę dawniej i przyszedłem ją uwolnić od dziwaka, który bawi się w jakieś udane choroby i straszy żonę śmiercią. Postępowanie pańskie jest haniebne!

— Milcz, śmiałku, — krzyknął Imbierowski — bo cię nauczę po kościele gwizdać. Wprawdzie mam umrzeć niedługo, ale wprzód jeszcze zbiję cię na kwaśne jabłko, że własne kości zbierać będziesz...

— Zobaczymy, zobaczymy, — odpowiada ułan — kto będzie silniejszy. Zosiu, chodź ze mną, bo z tym starym dziwakiem nie ma co robić...

Po tych słowach chwyta ułan żonę Pawła i chce z nią odchodzić. Wtedy Imbierowski rzuca się jak tygrys na wojskowego, ale ten zręcznie mu się usuwa, wybiega do drugiego pokoju i drzwi zamyka. Imbierowski szturmuje z całej siły, aż nareszcie drzwi wysadził. Ułan ucieka na podwórze, pan Paweł go goni, a choć właśnie dwunasta godzina uderzyła, nic nie słyszy, tylko pędzi za przeciwnikiem.

Ułan leci na pole, tu przeskakuje rów szeroki, Imbierowski za nim, lecz z powodu długiej opończy nie zdołał przesadzić rowu, wpadł zatem w środek, a że było błota więcej, niż wody, przeto powalał się okropnie.

Zrywa się jednakże, a choć gorący kipiał pot z czoła, pędzi za żołnierzem. Ten dopada do rozsochatej gruszy, wpada na nią i kryje się w konarach. Imbierowski dolatuje, wspina się na drzewo, ale napróżno, bo zwinny ułan zeskoczył i dalej w pobliskie krzaki. Tu zaczęła się bieganina i gonitwa, że trudnoby było je opisać.

Wtem wpada lekarz i woła, żeby zaprzestać lataniny, bo już po pierwszej godzinie, że to wszystko żart i niech tylko pan Imbierowski wróci do domu, a wszystko się wyjaśni.

Co miał zrobić pan Paweł, gdy zresztą był strasznie zmęczony? W domu dowiedział się, że ów ułan był bratem żony, który — dowiedziawszy się o dziwnej chorobie — przybył umyślnie, aby tem dziwnem lekarstwem chorobę uleczyć, co się też udało.

Imbierowski serdecznie podziękował, a odtąd żył szczęśliwie, gdyż jął się gorliwie pracy, przeto znalazł szczęście i spokojność.

Jeżeli kto z was podobnie będzie udręczony, niechże sobie wspomni pana Pawła i niech zawczasu chorobę oddali.

Ileż na świecie nieszczęść nieznanych?

Ileż nie świecie nieszczęść nieznanych,
Ileż na świecie łez wypłakanych,
Ileż na świecie wielkich goryczy,
Których nikt nie zna i nikt nie liczy!?

Bo któż to w życiu ludzkiem odgadnie,
Co gdzieś tam w sercu kryje się na dnie,
I co powoli w niem się gromadzi,
Że omal nieraz go nie rozsadzi?

Nieraz na ustach uśmiech wykwita,
Chociaż człek z bólu zębami zgrzyta,
I chociaż do krwi zaciska pięści
Z strasznej rozpaczy, z strasznej boleści.

Bo gdy świat boleść u innych widzi,
To z niej najczęściej sromotnie szydzi
I zamiast ulżyć zbolałej duszy,
Jeszcze dodaje więcej katuszy.

Ludzie się lubią śmiać z wesołymi,
Używać szczęścia ze szczęśliwymi,
Ale nie lubią współczuć niedoli,
Gdy serce pęka, gdy serce boli!

A ileż w świecie łez do obtarcia,
Ileż biedaków w świecie do wsparcia,
Ileż rozpacznej nieraz boleści
W sercach się naszych najbliższych mieści!

Ot weźmy przykład: Dziewczyna płocha
Myślała sobie, że „on“ ją kocha,
I wierząc święcie w słowa zaklęcia
Uległa... Biedna! A świat dziewczęcia



Nie wziął w obronę. Zbolałej duszy
Jeszcze dodawał więcej katuszy,
Jeszcze powiększał straszne męczarnie,
Znęcał się, szydził i drwił bezkarnie.

I któż łzy biednej ofiary zliczy,
Kto zbada straszny kielich goryczy,
I kto to kiedy w życiu odgadnie,
Co w sercu biednej kryje się na dnie?

Ot przykład inny: Umarła matka...
Osierocona została chatka
Co jedna znała trud jej i znoje...
Ona została i... dzieci troje.

Przyszli sąsiedzi, zmówili pacierz,
Na wiejski cmentarz wywieźli macierz,
Ksiądz zmarłej szczodrze pokropił ciało...
(Według przepisu wszystko się stało.)

Lecz czy kto myśli o małej biedzie,
Co w trójkę drogą z pogrzebu idzie
I łzy wylewa ten drobiazg Boży,
Bo nie wie, do ust co jutro włoży?

Czy kto pomyśli chociaż na chwilę,
Ile rozpaczy w sercach ich, ile
W duszyczkach młodych strasznej goryczy,
Czy kto pomyśli i czy kto zliczy?

O ludzie, ludzie, ludzie z kamienia
W sercach wam waszych brak jest sumienia,
Waszą oziębłość niech Bóg wybaczy,
Gdy nie widzicie bliźnich rozpaczy!

Antoni St. Bassara.



MACIEK BZDURA GADA:

Jakby sie mnie kto pytał, co ja myślę o wyborach, tobym mu pedzioł, ze do bani z wyborami. Bo i gdzie tu rozum, aby jednego osła wybierało se paredziesiąt wyborców i wyborcyń. Zeby to choć wszystkie chłopaki wybierały na poślonkę jaką jedną dziopę, a wszyćkie dziopy jednego śturkaca, toby tam jesce usło. Ale taki groch z kapustą, jak teraz jest, to sie psu na buty nie zda. Bo i jakze naprzykład taki p. Witos ma być najlepsiejsy i la mnie, i la mojego gospodarza i la mojej gospodynie, i la Kaśki Myrdalonki? La gospodynie i Kaśki, toby ta jesce uśed, choć pono juz obstarni, ale co do mnie, to jabym juz wolał jaką Witosionkę, bobym miał śniej większą pociechę, jak z najmądrzejsego Witosa. A i gospodarz, choć starzy juz, powiadają, ze jem po chłopie nic, bo i jaze i kiedy?

La przyciągnięcia co młodsiejsych chłopaków niektóre stronnictwa wystawiają na głosowanie na swoich listkach takze i niewiasty, ale cóz z tego, kiedy wybierają same takie popleśniałe, ze ani rus na nie się złakomić. I dziwią sie, potem, ze tak mało ludzi na wybory idzie. Bo i po cóz? Chłop nie pójdzie wybierać, jak mu se kazą chłopa wybirać. Idą ino same baby, bo im ta wszyćko jedno, jaki będzie: stary cy młody, bele ino był. A niejedna nawet powiada, ze im chłop starsy, to lepsiejsy, bo ma we wszyćkiem więcej doświadcenia.

Ja, jakbym był panem prezedentem, tobym zmienił tę ordynarną wyborcość na taką, coby se kuzden wyborca mógł wybrać jedną posłankę i mógł se ją podesłać, gdzieby sam chciał, zaś kuzda wyborcyni zeby se mogła wybrać jednego osła i uzywać go do tego, do cegoby sie jej rzywnie podobało. Poniewaz zasie jest ponoć w kraju więcej rodu niewieściego, anizeli chłopskiego, to kuzdy co silniejsy mógłby se obrać na przeprząakę i dwie i trzy podsłanki, a nikomuby sie w Polsce nie przykrzyło.

Ja, jakby były takie wybory w pojedynkę, tobym se wybrał pannę organiścionkę z jedwabnemi porteckami. Powiadam wam, jakie to ślicności! Wkiejsik wiater podwiał jej kacabajkę, pod którą dały sie uwidzieć takie ślicności, zem mało nie zemglał ze wzrusenia. Scyrzuteńki jedwab, a w słonku mieniło się to, jak tęca na niebie po dyscu: to fijolety, to róz, to pomarańce, ze cłek nie wiedział, z który strony patrzyć i jak patrzyć. Chciałem choć pomacać. Nie dała! Taka wam psia para hunorna! Taką se wybrać, to rozumię! Cłekby bez cały dzień nic inksego nie robił, ino patrzył a patrzył, a radował serce i dusę, zeby sie mu i zyć chciało na tem świecie. A u Kaśki co? Kobyle łapy, ze jak je nawet zuźrys, to odwracas głowę, zeby cie na wonity nie wzięło. Powiadam wam, ze wszyćkie dzieuchy na świecie powinny być organiścionkami.

Jakbym był panem prezydentem, tobym wszyćkie dzieuchy porobił organiścionkami.

Jakbym był prezydentem, ale co tu gadać o prezydenturze, kiedy nawet Kalasanty Gwizdała, organista w Dudach Łukowskich, pise mi, co mnie nie chce nawet na posła. Pise mi: „Wycytołem wcora w „Roli“, com se ją pozycył od somsiada, ze kandydujes na posła. Co prawda, to jak widno z twojej fotografji, jadackę mas obsyrnią, więc mógłbyś w Warsiawie spijać likiery i inne dobrości niegorzej od inksych posłów, a w sejmie mógłbyś krzyceć choćby za dziesięciu, ale my chłopy zeniate głosować na ciebie nie bedziewa i nasem dzieuchom i babom tez nie damy. A to latego, ześ sie zwąchał z niewieściem rodem i chces, coby cie wybrały na swego krzykaca. I nie dość, ze juz teraz nie mozna z niemi pokurać, to co bedzie, jak jesce ty zacnies za niemi pyskować“.

Tak mi pisą pon organista z Dudów Łukowskich i juz zacynałem sie namyślać, cy sie trapić z tego, cy nie? Ale chyba nima z cego, bo przecie w kraju jest trzydzieści milyjonów luda, to o jakie dwadzieścia, cy trzydzieści głosów dudowskich chodzić mi nie bedzie. I niech mi ta gada, co kto chce, a ja swojego programu nie zmienię i póki mi dusy w gębie na tem świecie, a któz jest więcej uściśniony, jak nie niewiasta, zwłasca taka, co jesce jej pięćdziesiątka nie minęła i moze sie do tego i owego przydać. Kuzda niewiasta moze być uściśniona i rano i wiecór, i we dnie i w nocy, a choć zadna nic przeciwko temu nic nima, to przecie nie kuzda chce, zeby wszyscy o tem wiedzieli. I właśnie tych, które nie chcą, zeby wszyscy o tem wiedzeli, ja będę bronił i będę powiadał, ze to nieprawda, choć będę wiedział, ze prawda.

A cy to zreśtą insi kandydaci na posłów inacej robią? Baj baju! Oni przeważnie zwalcają te rzecy, których nigdy nie było, a nic nie mówią o tych, które były. Jakbym ja robił inacej, toby mnie nie ino cały kraj nie wybrał, ale nawet moja rodząca Kaśka głosuby mi nie dała.

Zreśtą mniejsa o głosy! Jak bedzie mało takich, co pójdą na moje dwa zera, to se porachuję wszyćkie te, które będą na inkse lumerki, a i tak będę posłem, bo mi sie tak podoba. A jak sie komu nie podoba, to niech sam siebie wybierze na posła, a ja go kazę zamknąć potem w Brześciu i wszyćkiego mu sie odniechce.



Modlitwa siewcy.

Przepasany płachtą, w której pełno ziarna,
Stanął nad zagonem i krzyżem się żegna.
O, niech posiew, który przyjmie ziemia czarna
Nie będzie zawodny i niech lęk odegna,

Że kiedyś nadejdzie głodu straszna zmora,
I że trzeba będzie Ziemię-Matkę żebrać
O okruchy tylko, gdy żniw przyjdzie pora.
Racz pozwolić Panie, plon posiewu zebrać!

O, błogosław Panie, mnie dziecku ufnemu,
Które w Twoje Imię do tej pracy stawa !
O, błogosław Boże, chociaż i grzesznemu
Boć, że żyć możemy, Wola Twa i Sprawa!

Kiedy w pocie czoła kraję zagon sochą
Wiem, że patrzysz na mnie oczyma Swojemi.
Wiem, że nie pozwolisz ziemi być macochą;
Los mój Tobie, Panie, powierzam i Ziemi.

Kachna Ł. Łza.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Persja II.

W poprzednim numerze „Roli" podaliśmy opis pochodu biczowników szeickich. Otóż, jak zaznaczyliśmy, ludzie ci idą z nożami w rękach, wyostrzonemi, jak brzytwy.

Orszak cały zbliża się do ogniska. Zaczyna się taniec wśród dzikich okrzyków. Po chwili iman (kapłan szyicki) lub inny jaki Pers znakomity, wchodzi na umyślnie urządzone wzniesienie i odczytuje historję o Husseinie i Hassanie, a zarazem wzywa współwierców do wytrwania w wierze ojców i napomina ich do życia pobożnego. Nareszcie daje znak, na który ze wszystkich piersi wyrywa się okrzyk: „Hussein, Hassan!..." Pokutnicy wywołują te dwa imiona bez przerwy, a przytem wylewają łzy rzęsiście, lub udają, że płaczą, zawodząc żałośnie. Biczownicy smagają się rzemieniami po grzbietach. Plecy ich w jednej chwili pokrywają się sińcami, a po kilku minutach zmieniają się w bezkształtną masę czerwonego mięsa.



Pochód biczowników perskich.

Trzeci wreszcie oddział biczowników, owi biało ubrani, ranią sobie nożami pogolone głowy. Z ran krew spływa strugą po rękach, twarzy i po białych ubraniach. Ma to przypominać cierpienia dzieci Hassana, zaprzedanych w niewolę.

„Hussein, Hassan!... Hussein, Hassan!..." — ze wszystkich stron rozlega się straszny okrzyk, a towarzyszy mu straszniejsze jeszcze katowanie własnego ciała. Trwa to przez kilka godzin, upadających bowiem ze zmęczenia i z upływu krwi towarzysze podtrzymują jak najdłużej. Przyjaciele wzajemnie obmywają sobie rany. I publiczność, przyglądająca się temu widowisku, bierze w niem czynny udział, pokrzepiając biczowników napojami wzmacniającemi, w których zazwyczaj znajdują się duże dawki opjum.

Po pewnej przerwie dzika muzyka znów się odzywa i znów zaczyna się biczowanie.

W niektórych okolicach między biczownikami znajduje się mały chłopiec kilkoletni, siedzący na białym koniu. I on także zadaje sobie rany mieczem wyostrzonym, a po twarzy jego i białej szacie strumienie krwi ściekają. Chłopca tego, mającego przedstawiać dręczone dzieci Hassana, otacza orszak, przybrany odświętnie, z chorągwiami i pochodniami.

Biczownicy perscy urządzają to straszne widowisko w dziesiąty dzień muharremu nietylko w samej Persji, ale wogóle wszędzie, gdzie tylko żyją szyici. Nawet w otoczeniu chrześcijańskiem nie wstrzymują się od urządzania tych wstrząsających uroczystości; przeciwnie, zapraszają innowierców na te widowiska. W granicach Rosji szyici mieszkają przeważnie na południowych stokach Kaukazu. — Zbierają się oni corocznie w miejscowości Allah-Verdi, odległej o 130 km. od Tyflisu, w stronę Karsu, i tu odbywają swe straszne praktyki na cześć Husseina i Hassana.

Z największą okazałością podobno urządzaną bywa tego rodzaju uroczystość w Konstantynopolu, w dzielnicy zamieszkanej przez kupców perskich. — Jest to obszerny karawansera (rodzaj zajazdu), zabudowany w czworobok domami, a mający w środku dziedziniec ze studnią i niewielkim meczetem. Z minaretu (wieżyczki) iman odmawia codziennie przeciągłym nosowym głosem wezwania do modłów. Miejscowość ta nazywa się Valide-han. Tam to Persowie konstantynopolitańscy odprawiają swoje procesje na muharrem. Dzielnica to bogata; znajdują się tu istne skarby, przeważnie w tkaninach jedwabnych, nagromadzonych przez kupców perskich. Tu też uroczystość odbywa się nieco odmiennie, niż gdzieindziej.

Na dzień pokuty budowle i sklepy Valide-hanu pokrywają się czarnemi tkaninami. Nadaje to całej dzielnicy tło niezwykle smutne. Wieczorem na arkadach dziedzińca płoną tysiące lampek, jak krew czerwonych, a wokoło domów gromadzi się masa ludzi najrozmaitszych narodowości i wyznań. Podwórze samo zamyka przed obcymi łańcuch policji i wojska. Nad dzielnicą przykra zalega atmosfera, jakaś duszna! odmienna od czystego powietrza, jakiem się oddycha nad Bosforem. Kto raz był tu wieczorem w tym dniu pokuty, ten na całe życie zapamięta to straszne widowisko.



Po uroczystościach.

W Valide-hanie uroczystość odbywa się według z góry ułożonego programu, obliczonego często na wywołanie wrażenia. Dookoła dziedzińca obchodzą grupy nowicjuszów, biczowników i pokutników. Nie

brak pochodni, chorągwi i dzieci na koniach bogato przystrojonych.

Po ukończeniu widowiska, pokaleczonych, obitych i poranionych pokutników biorą w swą opiekę przyjaciele, namaszczają ich ciała kojącemi balsamami, zawijają je w bandaże. Po kilku dniach rany się goją i tylko blizny po nich pozostałe świadczą o odbytej pokucie na muharrem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zaklęty dwór.

Powieść z przeszłego stulecia podług Walerego Łozińskiego.

Hrabia skinieniem ręki odprawił Barszczyka, a obracając się do żony i córki, ozwał się żywo.

— Przypominacie sobie, że Juljusz wspomniał nam dawniej o jakiejś młodej dziewczynie, którą przypadkowo spostrzegł w ogrodzie żwirowskiego dworu. Otóż to ona znajdowała się w chacie i znikła w tak osobliwszy sposób.

— Nierozwiązana zagadka!

— Przepraszam — odezwała się nagle hrabianka, przytłumiając jakieś ukryte wahanie i przysuwając się z pochlebnem przymileniem do ojca — nie mogłabym już wiedzieć, jakie tajemnicze znaczenie miała owa szczególna ze mną rozmowa?

— Która rozmowa? — poszepnął hrabia, a na czoło nowa nabiegła mu chmura.

— Przemawiałeś do mnie ojcze, jak gdyby Juljusz miał zamiar starać się o moją rękę.

— Chciałem ci tylko dać do zrozumienia, że jeśliby mu to w samej rzeczy przyszło na myśl, z mojej strony nie potrzebowałby się obawiać żadnej przeszkody.

Eugenja z dziwnym ruchem wydęła spodnią wargę.

Hrabia ściągnął brwi i ozwał się prędko, jakby kończąc rozmowę:

— Juljusz jest jednym z najszlachetniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek znałem, a nosząc imię Żwirskich i w swem niedawnem ubóstwie nie o wiele oddalił się od nas stanowiskiem... Zresztą za kilka dni dowiesz się czegoś więcej w tej mierze.

— Za kilka dni! — powtórzyła hrabianka. — Może nowa jaka tajemnica?

Hrabia nie odpowiedział, zaczął nagle w zamyśleniu przechadzać się po pokoju, a po chwili przystanął i mruknął półgłosem, jakby sam do siebie:

— Pocóż Kost' był dziś u Juljusza?

W tym momencie rozwarły się drzwi, a do pokoju wszedł lokaj z widocznym wyrazem pomieszania i przestrachu na twarzy.

— Jaśnie panie... — mruknął z zająknieniem.

— Cóż takiego?

— Ten ten... Ko... Kost'... Bulij... klucznik zaklętego dworu...

— Kost' Bulij — powtórzył hrabia mimowolnie i zadrżał z lekka.

— Kost' Bulij — wykrzyknęła hrabianka, a oczy jej błysnęły ciekawością.

— Przyjechał tutaj i chce się widzieć z jasnym panem.

— Ze mną?! — wykrzyknął hrabia z szczególniejszym naciskiem.

Od ośmnastu lat, od czasu śmierci nieboszczyka ojca i rozłączenia się z bratem, hrabia poraz pierwszy miał ujrzeć Kostia. Od owego czasu nie spotkał go nigdy w swem życiu.

— To też jakby nie dowierzając słowom swego lokaja, powtórzył na nowo:

— Ze mną chce się widzieć?

— Sam na sam, powiada.

— Przyślij go do mojej kancelarji.

— Cóż to może być? — wykrzyknęła ciekawie hrabianka.

— W cztery oczy! — poszepnęła hrabina.

Hrabia w niezwykłem jakiemś wzburzeniu skinął na żonę i córkę, i nie mówiąc ani słowa wybiegł z salonu i szybko skręcił ku swej kancelarji.

Za chwilę rozwarły się drzwi, a poważnie i uroczyście wszedł Kost' Bulij.

„Wyjął kawał papieru i podał go hrabiemu.

Hrabiego przeszedł lekki dreszcz na widok tej olbrzymiej, ponurej i groźnej prawie postaci, która tysiączne budziła w nim wspomnienia, a bardzo silnie wryła się w jego pamięć.

Kost' Bulij miał swój zwyczajny wyraz twarzy, tylko więcej, niż zazwyczaj uroczystości przebijało się w jego ruchach i postaci.

Ukłonił się nisko na wstępie i wyprężony po sam niemal sufit czekał spokojnie, aż go hrabia zagadnie.

Ale snać sam jego widok jakieś przykre sprawiał na hrabim wrażenie, bo długi czas stał milczący i nieruchomy i widocznie jakąś wewnętrzną staczał walkę.

— Chciałeś się ze mną widzieć Kostiu — odezwał się nareszcie cokolwiek zmienionym głosem.

Kost' ukłonił się w milczeniu.

— Cóż mi tedy powiesz?

Kost' sięgnął ręką w zanadrze.

Hrabia z ciekawością i rodzajem lekkiego niepokoju towarzyszył oczyma temu poruszeniu.

Kost' wyjął jakiś zżółkły kawał papieru i w uroczystem milczeniu podał go hrabiemu.

Hrabia drgnął.

— Pismo Mikołaja!... — szepnął.

Oczy starego Kozaka roziskrzyły się jak dwa węgle, a brwi silniej ściągnęły się pod chmurnem czołem.

Hrabia trzymał list w drżących rękach i widocznie nie miał odwagi odczytać go w pierwszej chwili.

Wypatrzył się na Kozaka niespokojnemi i pytającemi oczyma i przewracał w ręku wypłowiały papier na wszystkie strony.

Kost' Bulij jakby się radował nieświadomą zgrozą hrabiego, milczał jak zaklęty.

— Co znaczy to pismo? — zapytał wreszcie brat starościca chwiejnym głosem.

— List — bąknął Kozak lakonicznie.

— Od Mikołaja! od mego brata?!

Kozak uroczyście skinął głową.

Hrabiego zimne mrowie przeszło po całem ciele.

Odebrał list od nieboszczyka z rąk posłańca, który w całej swej postaci miał w tej chwili coś naprawdę nadziemskiego.

I chwilkę stał niemy i nieruchomy z rozwartemi oczyma i drżącemi usty.

— Od mego brata? — wybąknął naraz powtórnie i drgnął gwałtownie.

— Pisał go na kilka godzin przed śmiercią — wycedził Kozak zwolna i uroczyście.

— Teraz mi go dopiero przynosisz?

— Teraz.

— Cóż to ma znaczyć? — pytał hrabia dalej z febrycznym pospiechem, jakby koniecznie jakąś uspokajającą chciał otrzymać wiadomość.

— Niech jasny pan czyta!

— Hrabia gwałtownie rozerwał list. Zawierał on tylko kilka wierszy.

„Bracie! Jeśli więcej może ci zależeć na błogosławieństwie brata umierającego, niż ci niegdyś zależało na uczuciach żyjącego, miej zupełne i nieograniczone zaufanie do Kostia Bulija, a każdemu jego słowu wierz ślepo, jakbyś słuchał mej własnej spowiedzi z za grobu. Bóg z tobą!

Mikołaj."

Hrabia po przeczytaniu listu stał osłupiały na miejscu i pytającemi oczyma wypatrzył się na starego Kozaka.

— Cóż znaczy ten list i dlaczego mi tak późno doręczasz? — wybąknął ledwie zrozumiale.

Kost' Bulij chwilę trwał w swem uporczywem milczeniu, aż nagle odezwał się dziwnie uroczystym głosem:

— Mam jasnemu panu wyjawić wielkiej wagi tajemnicę...

— A ten list...

— Powinien mi zapewnić wiarę i zaufanie.

Hrabia bezwładnie rzucił się na fotel, jakby nie miał sił utrzymać się dłużej na nogach.

— Cóż mi powiesz? — zapytał.

A po gwałtownem zżymaniu się piersi, po drżeniu ręki i trupiej bladości twarzy widać było, jak silne wstrząsało nim wzruszenie.

— To co wiem, mogę tylko w jednem wyjawić miejscu — odpowiedział stary Kozak z właściwym sobie naciskiem.

— I gdzież to?

— W czerwonym pokoju żwirowskiego dworu.

Hrabia drgnął gwałtownie.

Czerwony pokój zaklętego dworu ze swem uroczystem a ponurem przystrojeniem, gdzie przesiadywał obłąkany ojciec, a przebywał najchętniej brat nieboszczyk, zachował jakiś dziwnie złowieszczy charakter w młodocianych wspomnieniach hrabiego.

— Czy jasny pan się boi? — zapytał Kost' Bulij.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pogrzeb myśliwego.



Rysownik przedstawił na powyższym obrazku pogrzeb myśliwego, jaki powstał w dowcipnej jego fantazji. Oto 4 jelenie niosą na swych barkach trumnę nieboszczyka, na której siedzi sowa, złowrogi puszczyk, zwiastun śmierci. Zając niesie krzyż, a lis śpiewa pieśni żałobne z otwartej księgi. Obok trumny i za trumną postępują czworonożne zwierzęta i te ptaki, które zbyt dobrze latać nie umią. W powietrzu unoszą się ptaszęta, a cały orszak żałobny zdaje się nucić pieśń żałobną, a właściwie, jeżeli ma być wszystko na wesoło, to i pieśń powinna być wesoła, n. p. taka: »On ma już spokój wieczysty, a i my też!«

Serce kobiety.

W domu akademickim panował nerwowy, podniecony nastrój. Jeden ze studentów Mikołaj Małachow popełnił samobójstwo. Znaleziono go dziś rano w jego pokoiku z przestrzeloną skronią.

Władze natychmiast wdrożyły śledztwo. Badani studenci odzywali się o nieboszczyku bardzo nieprzychylnie. Prowadził się zawsze bardzo źle, dużo pił, przychodził późno do domu i wiecznie kłócił się z kolegami. Czasami stawał się przesadnie pilny, a wówczas dniami całymi nie wychodził ze swego pokoiku, siedząc nad książkami.

Oczywiście zapytano również o stosunek nieboszczyka do kobiet. Na to pytanie koledzy nie chcieli dać konkretnej odpowiedzi. Odparli jedynie, iż Małachowa pod tym względem znali tylko ze złej strony. Miał on wiele romansów przelotnych, na kobiety patrzył jedynie jak na objekt do wyładowania swych namiętności. Był wielkim cynikiem.

Ostatnio zakochał się w jednej ze studentek, Soni Gołubiewej. Wstydził się jednak swego uczucia i traktował ją tak samo po grubiańsku jak inne swe koleżanki, aczkolwiek było powszechną tajemnicą, że kochał się w niej bardzo.

Władze śledcze zażądały jej przybycia. Nie wiedziała ona jeszcze nic o samobójstwie. Dlatego też patrzono na nią z zaciekawieniem. Gdy weszła do pokoiku Małachowa, zalękniona spojrzała na policję i sędziego śledczego. Nie rozumiała poco ją wzywano. Nagle spojrzała na łóżko. Krzyk wydarł się jej z ust. Złapała się za głowę, padła na kolana przed zwłokami i oszalałemi z przestrachu oczyma wpatrywała się w twarz Małachowa.

Wreszcie opamiętała się. Twardym głosem oznajmiła sędziemu, że uważa się za przyczynę śmierci Małachowa. Ostatnio wyznał jej swą miłość, a ona

go odepchnęła. Nie mogła znieść jego brutalności. I oto zastrzelił się... przez nią...

Łzy strumieniami polały się jej z oczu.

Śledztwo było zakończone. Zwłoki zabrano do prosektorjum. Oczyszczono pokoik Małachowa i oddano wszystko co w nim pozostało Soni. Jego zeszyty, książki, rysunki.

Odtąd ta spuścizna stała się jej świętością. Przechowywała ją jak relikwję, modliła się do niej niemal.

W domu akademickim przechodziła obok wszystkich z wysoko podniesioną głową.

Była dumna z siebie, uważała się za coś wyższego od innych. Jakto, wszak przez nią z miłości ku niej odebrał sobie człowiek życie. Nie byłaby kobietą, gdyby się tem nie szczyciła.

Gdy zapytano ją pewnego razu, czy kochała zmarłego, odparła nie zastanawiając się:

— Tak, kochałam. Nie daruję sobie nigdy, że go odtrąciłam. Był on złym człowiekiem, ale pod moim wpływem mógł się zmienić. Zmieniłby się z pewnością, przecież mnie kochał. Tak bardzo kochał, że... zabił się...

I oto w miesiąc później, stało się coś czego nie spodziewał się nikt, najmniej zaś mogła spodziewać się Sonia.

Jeden ze studentów otrzymał list od najlepszego przyjaciela zmarłego. W liście tym leżała kartka, którą Małachow napisał doń dzień przed śmiercią.

Pisał doń, że zrozumiał niecelowość swego życia. Pisał o swej słabości charakteru, która stała się przyczyną wielu jego trosk, naraziła go towarzysko kolegom i dopuściła wreszcie, że pozwolił się wciągnąć w nieodpowiednie towarzystwo. I ta ostatnia okoliczność nakazała mu z sobą skończyć.

Długo komentowano sobie treść tego ostatniego listu Małachowa. I nagle ktoś ze studentów zawołał:

— A więc Sonia jest niewinna! Przecież o niej nie pisał ani słowa!

Nie zastanawiając się więcej, zakomunikowano o tem natychmiast Soni. Nie znali serca kobiety, tego nieodgadnionego sfinksa, w pierwszym wypadku być może zatailiby przed nią istotny powód samobójstwa. W naiwności swej przypuszczali jednak, że czynią dobrze, że powinna się cieszyć, iż nie będzie miała na sumieniu krwi człowieka. Jakże faktycznie nie znali serca kobiety.

Sonia otworzyła szeroko oczy. — List Małachowa? Gdzie? Szybko, dajcie mi ten list...

— List nieciekawy — odparł jeden ze studentów. — Najważniejsze jest to, że nie jesteś winną jego samobójstwa.

Twarz Soni stała się kredowo-białą.

— Nie przezemnie się zastrzelił? — wyjąkała.

— Tak, nie przez ciebie. W liście niema wzmianki o tobie.

Bez słowa opuściła Sonia pokój. Udała się do siebie. Z zaciśniętemi ustami poczęła wrzucać swe relikwje, spuściznę po Małachowie do pieca. I wreszcie padła na łóżko, zalewając się gorzkiemi łzami.

Za jednym zamachem zburzono jej piękny gmach fantazji. Wyczarowała sobie najpiękniejszy poemat miłosny, który okazał się tylko owocem jej urojenia. Tego nie wybaczy sobie nigdy, nie wybaczy sobie tej miłości, która powstała li tylko w jej fantazji, w jej rozegzaltowanym umyśle.

— — — — — — — — — — — — —

Po tygodniu była już zupełnie spokojna i opanowana. Gdy zapytano ją pewnego razu, czy faktycznie kochała zmarłego, odparła nie zastanawiając się:

— Nigdy w życiu. Czy można było pokochać takiego brutala, takiego niegodziwca, takiego cynika? Jak można mnie o coś podobnego podejrzewać?



Przygoda z krową.

Kuba Dowsilas był gospodarzem całą gębą. Miał ładny kawałek gruntu, nowy, ładny, biały domek, otoczony gęstą krzewiną sadu, tego sadu, w którym Kuba zawsze odpoczywać lubiał po pracy.

Kuba był w okolicy lubianym i szanowanym, bo był wesołym, rozumnym i pracowitym człowiekiem, ale miał tę wadę, że za każdym wyjazdem do miasta, gdy jakiś interes załatwił pomyślnie, a przy takiem jeżdżeniu zawsze lubił „podkurzyć" czuprynę.

Bydełko, pędzone z pola, porykiwało. Kuba miłośnie zerknął okiem w stronę, skąd głos ten dochodził, bo oto nadbiegły dwa wielkie woły, chluba jego stada. Na ich widok Kuba aż cmoknął wargami i w myśli robił plan.

— Jutro jest jarmark, te dwa woły sprzedam; za jednego z nich kupię krówkę i trochę przyodziewku, a może coś zostanie na napiwek i na odpust, zaś pieniądze za drugiego złożę sobie do kasy.

Za chwilę ucichł gwar w wiosce, cisza błogą otuliła ziemię i noc ciemna rozpostarła się nad uśpioną wioską.

Nazajutrz z brzaskiem pierwszych zórz Kuba był już w drodze ze swoją parką siwych. Na jarmarku był popyt duży, więc woły sprzedał dobrze; zebrał za nie więcej, niż się spodziewał. Potem poszedł kupić krówkę, ale tu gorzej było, bo niemało się biedaczysko napocił, nim wytargował korzystne warunki kupna, ale kupił i to taniej, niż obliczył w domu, a do tego krówkę ładną i mleczną, aż oczy uciekały wszystkim za nią.

Ale że to wszędzie kochanych kumów i przyjaciół nie brak, znaleźli się oni i na jarmarku i to wtedy, gdy Kuba wszedł do gospody, aby się posilić i wychylić jednego. Wtedy przystąpił jeden i drugi, potem aż pięciu i wesoło spędzano czas, pijąc jeden do drugiego, wszystko na zdrowie Kuby, którego w dniu następnym przypadały imieniny. Przytem radzono także o mającym nastąpić wyborze wójta, gdyż wiedzieli wszyscy, że Kuba ma duży apetyt na wójtostwo.

— Was, kumie, mają obrać wójtem, już dawno słuch taki chodzi po wsi, — odezwał się stary Jacenty, który z powodu siódmego krzyżyka wójtostwa już nie pragnął, a zresztą przez długi szereg lat napracował się już dość na tym urzędzie.

Na te słowa całe towarzystwo u stołu wykrzyknęło jednogłośnie:

— Co tu szukać dużo wójta, albož to nasz Kuba nie chłop morowy? Ma majątek, jest gospodarny i mądry, to i gminą dobrze rządzić potrafi.

I cała karczma rozkrzyczała się na dobre, gotów każdy Kubę obrać wójtem przy kieliszku.

A Kuba to bladł, to czerwieniał, a wąsa kręcił zamaszyście w górę, dumny z tego, że pragnienie jego bliskie jest rzeczywistości.

Po kilku godzinnem takiem zakrapianiu wyszedł Kuba z karczmy, odwiązał krówkę od palika i ruszył dalej w drogę do domu. Ale w oczach mu się kręci, to raz go pchnie w prawo, to znów w le-

wo, a gdzie krowa pociągnie, tam za nią Kuba idzie, można powiedzieć, że nie Kuba krowę prowadzi, lecz krowa jego. Na jego nieszczęście droga prowadziła przez tor kolejowy i gdy do toru Kuba doszedł, zapory były zamknięte przed nadjeżdżającym pociągiem. Kuba, ocierając pot z czoła, siadł na zaporze, krowa zaś skubała trawkę. Tu Kuba postanowił na chwilę się zdrzemnąć, aby mu zaś krówka nie uciekła, uwiązał ją u zapory, a sam usnął smacznie, siedząc na zaporze, jak ułan na rumaku.

I śni mu się, że jest na odpuście. Siedzi w karczmie i pije z kolegami, aż tu rwie cała gromada do niego, porywają go na ramiona z okrzykiem:

— Niech żyje Kuba Dowsilas, nasz wójt! Niech nam sto lat wójtuje! — i setka rąk podnosi go z krzesłem do góry, gdy wtem krzesło się przewraca, słychać niesamowity szum i wrzawę i nieludzki głos, jakiś. Kuba spada, tłucze się na ostrych kamykach i otwiera oczy zdziwiony.

— A to co znaczy?

I przypomina sobie, że powracał z jarmarku z krową, więc patrzy, gdzie ona jest, a ona wisi na otwartej zaporze, tylnemi nogami tylko ziemi dotyka, z jęzorem wywalonym na wierzch, wydając ostatnie tchnienie, a budnik biegnie patrzyć się co jest powodem, że zapora tak ciężko idzie do góry.

Odcięli krowę, ale już nieżywą. Kuba wrócił do domu zmartwiony. Cała wieś teraz pokpiwała z Kuby, bo budnik ze swego spostrzeżenia sekretu nie robił, a Kubie, gdy kto wspomniał o karczmie i wójtostwie, to takim wzrokiem go zmierzył, że zbytnikowi odniechciało się żartów.

I tak przygoda z krową na zaporze kolejowej wyleczyła Kubę z nałogu odwiedzania karczem.

Wawrzek Miesiączek.



Poradnik gospodarczy.

Czy można siać zboże porośnięte i kilkoletnie?

Nasienie, przeznaczone do siewu, powinno być zupełnie dojrzałe, sucho i pogodnie zebrane. Ziarna, zebrane w stanie niezupełnie dojrzałym, kiełkują wprawdzie, lecz tracą szybko zdolność kiełkowania, a rośliny z nich wyrosłe są słabe.

Zachodzi teraz ważne dla praktyki pytanie, czy zboże takie zupełnie do siewu jest nieprzydatne? Otóż, jakkolwiek siewu ziarnem porośniętem nie należy uważać za rzecz dobrą, to jednakże w wyjątkowych okolicznościach, niejako z konieczności siew podobnem ziarnem jest dopuszczalny. Ziarno niektórych zbóż, a zwłaszcza żyta i pszenicy, posiada zdolność odradzania się, to jest wypuszczania nowych kiełków, gdy pierwsze kiełki zaschną.

Zdolność ta polega na rozwoju pączków bocznych, założonych w zarodku ziarna, a będących narazie w spoczynku. Dopiero po skiełkowaniu „pączka głównego“ i następnem jego zaschnięciu obudza się życie w owych „bocznych pączkach“, które wypuszczają nowe kiełki. Przy próbach, dokonanych z żytem, którego kiełki były na jeden cal długie, na 100 ziarn, 70 ziarn wydało nowe kiełki. Podobnie zachowuje się pszenica, porośnięty jednak owies i jęczmień posiadają już mniejszą zdolność odradzania się i nie powinny być używane do siewu.

U rzepaku, kukurydzy, lnu, gryki i roślin strączkowych, u których mamy jeden tylko „pączek główny“ i jeden korzeń, porośnięcie ziarna stanowi o zupełnem jego zamarciu.

W każdym razie, siejąc żyto lub pszenicę porośniętą, trzeba ziarno silnie przemłynkować, ażeby oddzielić ziarna drobne i mocno porośnięte. Należy także siać znacznie gęściej, jak zwykle, uwzględniając osłabioną już siłę kiełkowania.

Chcąc dowiedzieć się, jak kiełkuje ziarno i ile garncy na mórg wypadnie wysiać więcej, sadzi się 100 ziarn w pudełku, napełnionem ziemią ogrodową, które ustawia się w ciepłym pokoju i polewa wodą. Praktycznem okazało się umieszczenie ziarna na flaneli pomiędzy dwiema grubemi taflami szklanemi; przyrząd ten prosty a tani, nadaje się szczególniej do wypróbowania ziarn zbożowych. Po upływie kilku dni wykaże nam próba, ile ziarn wzejdzie na sto.

Wiek wpływa ujemnie na siłę kiełkowania, z wiekiem zmniejsza się ona, aż zupełnie zanika. To też poradę siania zbożem przeszłorocznem należy przyjmować z pewnem zastrzeżeniem.

Żyto np. dwuletnie kiełkuje już bardzo źle, natomiast pszenica, jęczmień i owies kiełkują jeszcze jako tako.

Ponieważ starsze, kilkoletnie zboże kiełkuje słabiej i wykazuje mniejszą energję kiełkowania, t. j. kiełkuje wolniej, później, dając wschody nierówne, wynika z tego, że do siewu powinno się używać zawsze świeżego ziarna.

Niekiedy wszakże, zmuszeni koniecznością, odstępujemy od tej reguły, winniśmy jednakże w takim razie zrównoważyć ubytek sił kiełkowania, stosując gęściejszy wysiew.

Poradnik lekarski.

Zapalenie nerek. Przyczyny tej choroby są następujące: płonica, reumatyzm, tyfus, choroby serca, przeziębienie, kamienie nerkowe, nadużycie środków leczniczych, jak terpentyna, salicyl, uderzenie, zatrzymanie moczu i t. p. Objawy: dreszcze, gorączka, bóle w okolicy nerek, parcie na mocz, który zawiera białko, krew, a nawet ropę. Leczenie: Należy unikać przeziębienia, ubierać się ciepło i unikać nadmiernych wysiłków fizycznych, dalekich wycieczek, jazdy konnej, na rowerze. Unikać trunków alkoholowych, kawy, herbaty, potraw ostrych, korzennych. Za napój: woda z sokiem owocowym. Djeta wyłącznie roślinna i nabiałowa. Wyjąwszy mleko, innych płynów używać jak najmniej. Przy ostrym przebiegu zaraz z początku bańki na krzyże, środki napotowe, parówka aż do wywołania potów, potem zaraz kąpiel, szybko obmyć i wytrzeć i zawinąć w suche prześcieradło i koce. Potem wyciera się do sucha.

KRONIKA.

Udaremniony zamach na Marszałka Piłsudskiego. W ubiegłym tygodniu policja warszawska wykryła rzecz wprost straszną, a mianowicie spisek na życie Marszałka Piłsudskiego. Znaleźli się ludzie, którzy uzazdrościli zabójcy pierwszego prezydenta Polski ś. p. Gabrjela Narutowicza, Niewiadomskiemu, i chcieli w skrytobójczy sposób pozbawić życia Marszałka Piłsudskiego. Myśl ta zrodziła się w głowach szaleńców pod wpływem nieprzebierającej w słowach agitacji opozycjonistów przeciw Marszałkowi. Wykonania jej podjął się robotnik Jagodziński, liczący 42 lata, członek bojówki socjalistycznej. Postanowił on zorganizować dla owego celu t. zw. piątkę, powołując do niej Witolda Purzyckiego, pracownika Kasy chorych, Eugenjusza Przetacznika, robotnika, Marjana Synowieckiego, redaktora socjalistycznego tygodnika „Chłopska Prawda", Dominika Prochimowicza, dozorcę Kasy chorych i Ewarysta Chróścińskiego. Jak wynika z śledztwa policji, dnia 10 b. m. Piotr Jagodziński miał rzucić bombę na powracającego Marszałka Piłsudskiego z prezydjum Rady ministrów przez Aleje Ujazdowskie, a w razie pościgu owa piątka miała go bronić strzałami rewolwerowymi przed ujęciem. Początkowo Jagodziński nie powiedział wspólnikom, na kogo ma być zamach urządzony, to też członkowie piątki schodzili się na narady i omawiali plan akcji, gdy jednak dowiedzieli się, że zamach ma dotyczyć Marszałka Piłsudskiego, odmówili współudziału. Inna rzecz, że zamach i tak byłby się nie udał, gdyż policja wiedziała już o wszystkiem, wskutek czego Marszałek Piłsudski nie powracał w dniu tym przez Aleje Ujazdowskie. Natomiast cała szajka zamachowców została aresztowana i zamknięta pod kluczem. Do spisku należeli i inni członkowie bojówki socjalistycznej oraz kilku b. posłów PPS CKW., których również aresztowano. Czyn ten nazwaliśmy strasznym, gdyż okryłby on hańbą cały naród polski, jak go okrył czyn Niewiadomskiego, a jeszcze hańbą większą. Bo jakkolwiek ś.p. Narutowicz był człowiekiem nieskazitelnym i głębokiego rozumu, to przecież nie zajmował tego stanowiska w narodzie, jakie zajmuje Marszałek Piłsudski. Bo Marszałek Piłsudski, pomijając jego działalność obecną, której na tem miejscu ani chwalić, ani ganić nie chcemy, był przecież twórcą armji polskiej, wskrzesicielem Ojczyzny naszej i on doprowadził ją do tego stanowiska, jakie dzisiaj w świecie zajmuje. Przyznają mu to nietylko jego wielbiciele, ale nawet najzaciętsi wrogowie, jak to udowodnił również w przepięknej książce o Marszałku Piłsudskim Ignacy Daszyński. Aby nas nie posądzono o stronniczość, zaznaczyć musimy, że wiekopomne zasługi Marszałka Piłsudskiego w niczem nie uszczuplają również zasług innych wodzów narodu, należących do innych obozów partyjnych, jak generałowie Haller, Sikorski, Rozwadowski i tylu a tylu zasłużonych ludzi. Ale i to stwierdzić należy, że gdyby dziś brakło wśród żyjących Marszałka Piłsudskiego, tobyśmy wkrótce zobaczyli na ziemiach polskich hordy bolszewickie i sprzymierzone z nimi wojska niemieckie.

Straszna zbrodnia polityczna w Częstochowie. We czwartek 16 b m. o 11 przed południem odbywała się w Kasie chorych w Częstochowie konferencja służbowa, w której brali udział: komisarz Kasy chorach Rejowski, inspektor Kasy chorych Furmańczyk i Dr. Biluchowski. W chwili, kiedy insp. Furmańczyk otworzył drzwi, aby przywołać woźnego, wpadł do biura jakiś człowiek i począł strzelać z rewolweru do osób, znajdujących się w biurze. Skutki strzałów były straszne. Na miejscu padli nieżywi pp. Rejowski i Furmańczyk, oraz ciężko ranny Dr. Biluchowski. W tej chwili wpadł do gabinetu bezrobotny Mołda i chciał ująć mordercę, ale i on padł trupem, rażony strzałem zbrodniarza. Morderca wybiegł na korytarz, widząc jednak, że ma drogę do ucieczki odciętą, przyłożył sobie rewolwer do głowy i wystrzałem uśmiercił się na miejscu. Jak się okazało, mordercą jest bojówkarz PPS. Kostrzewski, który z pobudek politycznych pozbawił życia trzy niewinne osoby, a czwartą ciężko ranił. Jak stwierdziło dotychczasowe śledztwo, Kostrzewski miał wspólników, którzy przyszli razem z nim dla ułatwienia mu ucieczki, ponieważ jednak cała tragedja rozegrała się momentalnie, więc nic mu pomódz nie mogli. W związku z tem morderstwem aresztowano w tym samym dniu prezesa okręgowego PPS. Chojnackiego, redaktora gazetki socjalistycznej „Częstochowianin" Lewiaka, byłego posła PPS. Kaźmierczaka i wielu innych działaczy socjalistycznych. Zamordowany Rejowski był radcą wojewódzkim w Kielcach. Liczył zaledwie 31 lat. Niedawno stracił żonę. Pozostawił dwuletniego synka. Śp. Furmańczyk spędził kilka lat na Syberji, gdzie zasłużył się bardzo dla sprawy polskiej. Osierocił żonę i dwoje dzieci. Dr. Biluchowski i ś. p. Furmańczyk figurują na liście BBWR. jako kandydaci do sejmu z okręgu częstochowskiego.

Ruch wyborczy. Jak wiadomo, cała Polska jest podzielona na 64 okręgi wyborcze, w których ma być wybranych 372 posłów, zaś z list państwowych wejdzie w stosunku do otrzymanych w okręgach mandatów 72 posłów, tak, że ogólna liczba przedstawicieli naszych w Warszawie ma obejmować 444 głów. Ma być więc 444 posłów, a tymczasem o mandaty ubiega się kilka tysięcy ludzi. Ciekawą więc jest rzeczą, kto w walce tej zwycięży. Bawienie się tutaj w jakiekolwiek przepowiednie jest rzeczą trudną, bo na ostateczny wynik wyborów może wpłynąć nieraz nawet maleńki drobiazg. Na dowód przytoczę zdarzenie jeszcze z czasów przedwojennych. Były wybory do parlamentu austrjackiego. Każdy okręg wybierał dwóch posłów: posła większości i posła mniejszości. Posłem większości został ten, kto otrzymał więcej niż połowę głosów, posłem mniejszości ten, kto uzyskał więcej niż jedną czwartą głosów. W okręgu wyborczym Rzeszów-Kolbuszowa kandydowało trzech: ś. p. Adam Jędrzejowicz, Antoni Paduch i ś. p. Tomasz Szajer. Przy pierwszych wyborach olbrzymią większość głosów dostał Paduch, bo choć to był prawie analfabeta, ale wyborcy poszli za nim, bo w kościele krzyżem leżał, a w karczmie z chłopami popijał i traktował ich dramkami. Śp. Jędrzejowicz, człowiek niecodziennych zdolności, skupił na sobie dość dużo głosów, ale jako obszarnik potrzebnej ilości do wyboru nie uzyskał. Natomiast niewielką ilość głosów swych krewniaków i towarzyszy pijatyk otrzymał śp. Szajer. Zdawało się, że przy ściślejszych wyborach pomiędzy Jędrzejowiczem a Szajerem ten pierwszy zdobędzie przygniatającą większość, gdyż Szajera w Kolbuszowskiem nie cierpiano do tego stopnia, że nawet nigdzie na wiecu nie mógł się pojawić, bo kto wie, czyby był z życiem uszedł. Ale śp. Szajer znał duszę chłopską i był nie w ciemię bity. W przeddzień więc wyborów rozsyła konnych posłańców po wszystkich wsiach z oznajmieniem, że on, t. j. Szajer, wie coś takiego na panów, co jednak ogłosi dopiero wtedy, gdy zostanie posłem. I cóż się stało? Oto ci, którzy jeszcze wczoraj byliby Szajera w łyżce wody utopili, poszli za nim ławą i wybrali go posłem. A Szajer nic nie powiedział, bo nic nie wiedział, ale posłem został. Niejeden więc podobny drobiazg może przeważyć szalę na tę lub ową stronę, trudno więc o wyniku wyborów zgóry przesądzać. W cza-

sie obecnych wyborów właściwa walka rozegra się pomiędzy dwoma wielkimi blokami, a mianowicie między blokiem BBWR., na którego czele stoi Marszałek Piłsudski, a którego listy wyborcze mają numer 1 i blokiem Centrolewu, który zwalcza Marszałka Piłsudskiego, a którego listy wyborcze mają numer 7. Oprócz tych dwóch wielkich bloków występują jeszcze trzy pomniejsze grupy polskie, a mianowicie narodowa demokracja (ND), chrześcijańska demokracja (ChD.) i socjalistyczna dawna frakcja rewolucyjna, które jednak większego wpływu na wynik wyborów nie wywrą. Jakże przedstawiają się szanse tych ugrupowań. Kto czyta gazety, popierające rząd obecny i Marszałka Piłsudskiego, to wyczyta w nich, że BBWR ma zapewnione zwycięstwo, ale kto czyta znów gazetki Centrolewu, to wyczyta w nich, że BBWR zostanie rozgromione, a wyjdą tylko sami posłowie Centrolewu. Narodowa demokracja głosi w swych gazetkach, że zmiecie z powierzchni ziemi inne stronnictwa, a coś podobnego utrzymują również gazetki chadeckie. Gdzież prawda? Nigdzie, bo nikt przewidzieć nie zdoła, co się stanie w dniu 16 listopada. Dziś tylko jedno można stwierdzić, że podczas gdy BBWR., ND. i ChD. idą zwartą masą do wyborów, mniejsza z tem, czy mają mniej lub więcej zwolenników, to Centrolew zaczyna się coraz bardziej rozłazić. Z pod dyktatury PPS. wyłamują się niemal we wszystkich okręgach chłopi, stawiając oddzielne listy, nie związane niczem z listami państwowemi Jedni nie chcą iść z socjalistami dlatego, że ci połączyli się z Niemcami, inni twierdzą, że posłowie robotniczy nie będą bronili w sejmie interesów chłopskich, wreszcie wiele im zaszkodził planowany zamach na Marszałka Piłsudskiego. Tak tedy może się zdarzyć, że wielu posłów przeprowadzą ci, którzy w ostatniej chwili wyłamali się z Centrolewu. Kto to może wiedzieć? A może zmartwychwstanie znów jakiś duch śp. Szajera, który w ostatniej chwili zdoła skierować wyborców za listą przez siebie upatrzoną? W każdym, razie jak będzie i co będzie, to niewiadomo, ale to wiadomo, że wybory te rozstrzygną, czy społeczeństwo polskie chce iść za Marszałkiem Piłsudskim, czy przeciw niemu. I to także wiadomo, że, gdy Marszałek Piłsudski zwycięży, to dalej będzie dzierżył władzę w swem ręku, a jeżeli nie zwycięży, to też tej władzy z rąk nie puści z obawy, aby kraj nie popadł w anarchję, co byłoby klęską dla całego narodu.

Więźniowie z Brześcia a wybory. Do posłów, znajdujących się w areszcie w Brześciu nad Bugiem, zwróciły się władze z zapytaniem, czy zamierzają kandydować do Sejmu. Jak donoszą gazety codzienne, b. posłowie Dębski (ND.), Lieberman (PPS), Prager i Kwiatkowski oświadczyli, że kandydować nie zamierzają i oświadczenie to złożyli na piśmie, natomiast b. poseł Witos oświadczył, że na kandydaturę z listy Centrolewu Nr. 7 nie zgadza się, ale nie oświadczył, czy wybór z innej listy przyjąłby. Jak wiadomo, p. Witosa postawił Centrolew na liście państwowej na czwartem miejscu.

Niemcy a Polska. Niemcy nie kryją się z tem, że pragną odwetu na Polsce, któryby im przyniósł zwrot Pomorza i Górnego Śląska. Do niedawna powiadali, że zażądają tego na drodze pokojowej, ale po wyborach głoszą otwarcie, że nie zawahają się wystąpić i z bronią w ręku, gdy się tylko po temu sposobność nadarzy. I zapewneby już wystąpili, ale obawiają się, że za nami gotów ująć się cały świat, a w pierwszym rzędzie sojuszniczka nasza Francja, więc się też jeszcze powstrzymują i przygotowują siły. Dotychczasowy rząd niemiecki, w którym pierwsze skrzypce grało Centrum katolickie, zapewniał świat, że o czemś podobnem nie myśli, ale po ostatnich wyborach Centrum straciło na znaczeniu, a górę w Niemczech biorą hittlerowcy czyli tak zwani narodowi socjaliści i komuniści. Ci się już niczem nie krępują. Jedni i drudzy idą do jednego celu, ale różnymi drogami. Hittlerowcy pragną przywrócenia monarchji, po powstaniu której mają nadzieję rozprawienia się z nami, zaś komuniści marzą o wprowadzeniu w Niemczech rządów bolszewickich, któreby w połączeniu z bolszewikami rosyjskiemi z całą siłą uderzyły na naszą Ojczyznę. Czem są hittlerowcy i komuniści okazało się to przy otwarciu parlamentu niemieckiego. Oto bojówki ich, aby posłom swym nadać więcej siły, ruszyły na ulice Berlina, dopuszczając się pogromów na tych, którzy im są przeciwni. Było to niejako ostrzeżenie dla obecnego rządu, aby się z nimi liczył i działał w myśl ich żądań. Jest to dopiero początek. Co dalsza przyszłość przyniesie, nie wiadomo. Naród polski powinien jednak skupić się i bacznie śledzić wypadki, jakie rozgrywają się w Niemczech, aby w każdej chwili gotów był do obrony.

Ingres ks. biskupa Jasińskiego. W niedzielę 12 b. m. w Sandomierzu odbył się ingres ks. biskupa Włodzimierza Jasińskiego. Na granicy powiatu powitał ks. biskupa imieniem administracji samorządowej starosta sandomierski Stanisław Gliszczyński, wójt gminy Lipnik na czele Rady gminnej przyjął najdostojniejszego pasterza chlebem i solą. Następnie ks. biskup otoczony banderją ruszył w dalszą drogę. Niebawem ks. biskup stanął u bram miasta Sandomierza witany dźwiękami dzwonów i hymnem państwowym orkiestry wojskowej, Po powitaniu przy bramie pochód ruszył przez miasto do katedry. Tu nominata powitał ks. biskup sufragan Kubicki, poczem duchowieństwo djecezji złożyło ks. biskupowi hołd. Podczas uroczystej mszy św. nominat wygłosił podniosłe kazanie. Rząd reprezentował wojewoda kielecki Paciorkowski. Po nabożeństwie ks. biskup Jasiński przyjmował w pałacu biskupim życzenia, składane przez przedstawicieli urzędów państwowych. W godzinach popołudniowych odbył się uroczysty obiad, wydany przez kapitułę sandomierską, na którym wygłoszono szereg przemówień.

Zbrodnia w Samborze. Z Sambora donoszą o zbrodni, dokonanej na przedmieściu Klimkówka. Przed północą, gdy rodzina Izaaka Matesa, zamieszkała na tem przedmieściu, pogrążona była we śnie, wtargnęło do mieszkania trzech uzbrojonych w rewolwery i siekiery bandytów, którzy dali do śpiących kilkanaście strzałów, a następnie siekierami dobili swe ofiary. Mordercy splądrowali całe mieszkanie i zbiegli. Policja zapomocą psa policyjnego podjęła natychmiastowe dochodzenia, aresztując kilku podejrzanych osobników.

Ukamienowanie złodzieja. We wsi Przeginia pow. olkuskiego tłum, złożony z około 150 osób, dokonał samosądu na osobie mieszkańca tej wsi Piotra Zyguły, bijąc go kamieniami i laskami, ponadto z tłumu padł strzał rewolwerowy, który ugodził Zygułę w pierś, powodując natychmiastową śmierć. Zyguła był zawodowym złodziejem i dał się we znaki mieszkańcom wsi, pozatem był on podejrzany o podpalenie trzech stodół w tej wsi.

Przywiązanie tygrysa do pogromcy. W czasie przedstawienia w cyrku Hagenbecka w Lipsku zdarzył się znamienny wypadek, stwierdzający przywiązanie tygrysa do swego pogromcy. W chwili, kiedy pogromca wszedł do klatki, jedna z młodych tygrysic rzuciła się na niego, obalając go jednem uderzeniem łapy na ziemię. Gdy rozwścieczona tygrysica zamierzała chwycić ofiarę za gardło, porwał się z miejsca stary tygrys i stając w obronie swego poskromiciela, kilku szarpnięciami odpędził tygrysicę od leżącego, poczem zagryzł ją na

śmierć. Pogromca doznał lekkich obrażeń i był w stanie po krótkiej przerwie odbyć przedstawienie.

Zabójstwo z zazdrości. Z Paryża donoszą o niezwykłym akcie zazdrości, jakiego ofiarą padł zamieszkały przez czas dłuższy we Francji czechosłowacki inżynier Füber. Powracał on ze swą młodą żoną, którą świeżo poślubił w swej ojczyźnie, do Paryża i w pospiesznym pociągu Praga Paryż w pobliżu Nancy został zastrzelony w obecności swej młodej małżonki przez byłą swą kochankę. Kobieta owa, rozwiedziona z mężem jest Francuzką, Füber poznał ją w Paryżu i utrzymując z nią stosunek miłosny, obiecywał ożenek. Kobietę tę, która od samej już Pragi wsiadła w ten sam pociąg, co jej ofiara, aresztowano i dostarczono do więzienia w Nancy.

Poszarpany przez dzika. Na polach koło Płoskirowa, na Ukrainie, w czasie jesiennych robót polnych, wypadł z lasu ogromny dzik. Gdzie się pokazał, ludzie przerażeni uciekali przed nim, gdyż wydawał się bardzo rozżarty. Pędził więc przez pola, aż wpadł na łąki. Tu jeden z chłopów wraz z kilkunastoletnim synem, układający siano w stóg, chcieli mu zabiedz drogę. Syn, jako bardziej rączy, zabiegł pierwszy, ale tylko grabie miał w ręku. Dzik rzucił się na niego; chłopak począł uciekać do stoga, ale nie zdążył. Dzik go dopadł, przewrócił, pokaleczył mu strasznie twarz, poogryzał nogi i uda.



Ojciec uciekł na stóg i krzyczał, wzywając pomocy, ale nikt nie przybiegł na to wołanie, aż straszliwy zwierz sam biedaka opuścił i popędził w las, Ojciec zabrał pokaleczonego syna i odwiózł do szpitala, gdzie pomimo zabiegów lekarzy zmarł.

Rewolucja w Brazylji. Od dłuższego już czasu republiki Ameryki Południowej stały się terenem rewolucyj, wstrząsających stosunkowo młodemi organizmami państwowemi. Zaczęło się od republiki Peru, gdzie zbuntowane oddziały wojskowe obaliły dyktatorską władzę prezydenta. Podobnie rzecz się miała w Argentynie, w której przewlekły kryzys gospodarczy szczególnie dał się we znaki szerokim sferom ludności, a absolutne rządy prezydenta Irigoyena, oraz wybitnie stronnicza personalna polityka przy obsadzaniu najważniejszych stanowisk, wywołały powszechne niezadowolenie. W rezultacie hasło do rewolty dała młodzież akademicka, rewolty, która w krótkim czasie objęła oddziały wojskowe. Mając na czele generała Uriburu, wkroczyły one do stolicy Argentyny, Buenos Aires, z łatwością pokonywując słaby opór wojsk rządowych i więżąc prezydenta. Na czele nowego rządu stanął dowódca zbuntowanych wojsk gen. Uriburu. Sprzeczne wieści napływają z Chile, gdzie podobno również wybuchła rewolucja wojskowa, podług jednych wiadomości stłumiona, według innych rozwijająca się pomyślnie dla rewolucjonistów. Równocześnie rządy całego szeregu republik zastosowały daleke idące środki ostrożności w obawie przed wybuchem zaburzeń. Ostatnio alarmujące wiadomości przyniosły telegramy z największego państwa Ameryki Południowej Brazylji, gdzie cały szereg stanów południowych (Brazylja jest państwem związkowem, na wzór Stanów Zjednoczonych) jak Sao Paulo, Rio Grande do Sul, Minas Geraes i t. d., wypowiedział posłuszeństwo rządowi federalnemu w Rio de Janeiro. Według nadchodzących wiadomości, w całej południowej i środkowej Brazylji toczą się uporczywe walki między wojskami rządowemi a zbuntowanemi oddziałami. Jak przedstawia się tam sytuacja wojenna, trudno narazie zbadać, gdyż tak jedna, jak i druga strona zapewniają o swych sukcesach.

Najbogatsza znajda świata. Najbogatszą znajdą świata jest Joy Luiso, adoptowana córka zmarłego króla żelaza Warnera M. Leedsa, spokrewnionego przez małżeństwo z byłym greckim domem królewskim. Kiedy Leeds zmarł niedawno, zapisał cały olbrzymi swój majątek tej znajdzie, która umiliła mu ostatnie dni życia. W interesujący sposób doszła mała dziewczynka do tego szczęścia. Pewnego dnia znalazł policjant w pewnym domu niemowlę, leżące w koszyku. Do koszyka przywiązana była karteczka z prośbą o zaopiekowanie się znalezionem dzieckiem. W chwili, gdy policjant szedł z koszykiem, zawierającym dziecko, nadjechał samochód króla żelaza. Leeds spostrzegł niemowlę w rękach policjanta i zapytał, w jaki sposób znalazł je. Usłyszawszy historję dziecka, Leeds zabrał je do swojego samochodu. Miljoner i jego żona pokochali dziewczynkę i postanowili zatrzymać ją. Obecnie cała troska przybranych rodziców skierowana była ku dziecku. — Żona Leedsa ustanowiła dziewczynkę spadkobierczynią swego majątku, wynoszącego 5 miljonów dolarów. Po przybranym ojcu odziedziczyła w jakiś czas potem 10(miljonów dolarów. Zarządem odziedziczonego majątku zajął się brat Leedsa, który w chwili pełnoletności dziewczyny ma otrzymać 500.000 dolarów, jeśli wypełni wszystkie obowiązki dobrego wychowania dziewczyny. W testamencie jest klauzula, wedle której dziewczyna musi po uzyskaniu pełnoletności oświadczyć sama, czy jest dobrze wychowana.

Wielka obława w klubach gry. W pobliżu Nowego Jorku znajduje się przepiękna wyspa Long Island gdzie mieszczą się najwspanialsze domy gry, restauracje i kawiarnie, oraz inne miejsca rozrywkowe, zwiedzane głównie przez wycieczkowców niedzielnych, — przybywających tutaj parostatkami z Nowego Jorku.

Ubiegłej niedzieli policja nowojorska urządziła obławę na tamtejsze kluby gry. Około 100 detektywów otoczyło „Hampton Bay", „Montank" i „Jefferson" — trzy najelegantsze kluby. Aresztowano właścicieli tych klubów oraz 17 osób, które zastano przy stolikach gry, grających w hazard i ruletę. Skonfiskowano przytem 5 miljonów dolarów w gotówce i żetonach.

Wspomniane wyżej kluby od dłuższego już czasu znane były jako niebezpieczne jaskinie gry. Sprzedawano tam również napoje alkoholowe. W piwnicach urządzone były gorzelnie.

Ostatnio zgrał się w jednym z tych klubów syn generalnego prokuratora Nowego Jorku, przegrawszy jednej nocy 40.000 dolarów. Jak się okazało, wpadł w ręce hochsztaplera, który grał fałszywemi kartami. Wypadek ten spowodował właśnie interwencją nowojorskiej policji.

Prasa nowojorska, donosząc o tem wszystkiem, domaga się stałej kontroli klubów, gdzie uprawiają grę w ruletę i karty i gdzie — jak piszą — kwitnie w najlepsze pijaństwo.

RZECZY CIEKAWE.

Kraj stulatków.

Krajem, w którym kobiety osiągają najbardziej sędziwy wiek, jest Brazylja. Nadmienić trzeba, że w Brazylji panuje ogromna śmiertelność niemowląt, ale z chwilą, gdy dziecko przekroczy rok niebezpieczeństwo mija i czeka je długie życie.

Statystyka wykazała, że na 30,635.000 mieszkańców Brazylji jest tam 6.706 stuletnich starców, czyli że na 100 tysięcy ludzi przypada 22 stulatków. Najciekawszy jest jednak fakt, że mimo przewagi liczebnej mężczyzn nad kobietami w tym kraju, wśród owych stuletnich przeważają kobiety. Na 4127 stuletnich kobiet przypada tylko 2579 stuletnich mężczyzn.

Ogromne wygrane i przegrane.

Śród graczów, zasiadających do stołów gry w kasynie kąpieli morskich Deauville zwracał niedawno powszechną uwagę bogacz amerykański, John Factor, który zasiadając co wieczór z małżonką swą do gry w karty, wygrywał przez kilka nocy sumy ogromne. Pewnej nocy jednak odwróciło się nagle szczęście od miljonera tak, że w ciągu dwu godzin przegrał 32.000 dolarów. Nie przerwał jednak gry i grając do świtu nietylko przegrał wszystko co wygrał w ciągu nocy poprzednich, ale jeszcze dołożył z własnej kieszeni 80.000 dolarów.

W Saint-Juan-les-Pins miljoner angielski, Jack Coats, objąwszy bank kasyna miejscowego, po pewnym syndykacie greckim, musiał zrzec się tego banku, przegrawszy 80.000 funt. sterl. (około 4 miljonów złotych).

Węże, zwierzętami domowemi.

W związku z wypadkami ukąszenia przez żmije, jakie niedawno miały miejsce w parkach warszawskich, warto przypomnieć, że istnieje kraj, gdzie już nie żmije ale wielkie węże hodowane są w charakterze zwierząt domowych. Krajem tym jest Brazylja, gdzie pewien gatunek węży jest w gospodarstwie równie często spotykany, jak gdzieindziej pies lub kot. Węże te, dla których szczury są ulubionym przysmakiem, oddają nieocenione usługi w walce z temi gryzoniami. W dzień wąż śpi spokojnie zwinięty w kłębek w przeznaczonym dla niego koszyku a dopiero w nocy wychodzi na łów. Co ciekawe, że węże te bardzo prędko oswajają się z otoczeniem i przyzwyczajają się do domu, tak dalece, że na porządku dziennym są wypadki, że węże wypuszczone na wolność nawet w dość znacznej odległości od domu, odnajdują jednak same drogę i powracają.

Małżeństwa u różnych narodów.

Najwięcej małżeństw zawiera się w Rosji i w Rumunji: w pierwszej 10.8 pro mille (t. zn. 10.8 ślubów rocznie na każdy tysiąc mieszkańców), w drugiej 10.5. Zaraz za niemi idzie Polska; u nas odnośna liczba wynosi 9.8 pro mille. Następne miejsce zajmuje Czechosłowacja 9.5 pro mille, dalej Niemcy 9.2, Belgja i Węgry 9.1, Francja 8.3, Anglja i Holandja 7.7, Hiszpanja 7.6, Szwajcarja 7.5 i t. d.

Najmniej małżeństw zawiera się obecnie we Włoszech (7 pro mille) i w Szwecji (6.7). Ze statystyki niniejszej widać, że procent małżeństw jest w państwach europejskich mniej więcej ten sam (różnice są małe), a mianowicie od 7-miu do 9-ciu pro mille rocznie.

Dzieje obrusa i serwetki.

Niemal każdy przedmiot codziennej potrzeby, będący obecnie w powszechnem użyciu, ma swoją, nieraz bardzo ciekawą historję. Do liczby tych ostatnich należą obrus i serweta.

Mają one za sobą conajmniej dwadzieścia pięć wieków istnienia: Rzymianie już na kilka stuleci przed Chrystusem w czasie uczt używali t. zw. mappę, która była poprzedniczką dzisiejszej serwety. Służyła ona nietylko do wycierania rąk, lecz również do zawijania resztek pozostałych z uczty potraw. Nie należały one wówczas do nakrycia stołu, lecz każdy z gości przynosił je ze sobą. Początkowo używano „mappy“ z płótna lub tkaniny bawełnianej, z biegiem czasu jednak zaczęto używać tkanin ozdobnych, nieraz bogato przystrajanych złotem.

Do wielkiego znaczenia doszły „mappy“ za Nerona. Zdarzyło się kiedyś, że lud zniecierpliwiony nadto przeciągającą się ucztą Nerona, po której jak zwykle nastąpić miały igrzyska, zaczął głośnemi okrzykami domagać się ich rozpoczęcia. Wówczas Neron rozkazał wyrzucić „mappę“ przez okno na znak, że ucztę przerywa i że igrzyska wnet się rozpoczną. Odtąd weszło w zwyczaj, że rozpoczęcie igrzysk zawsze poprzedzane było wyrzucaniem „mappy“ przez okno.

W okresie wędrówek ludów zwyczaj używania „mappy“, jak wiele innych, zanikł i dopiero za czasów Ludwika Pobożnego, w IX wieku, zaczęto znowu używać obrusów i serwet, a właściwie nakrywać stoły biesiadne skórą zwykłą lub pergaminem. A że tego rodzaju serwety niezbyt nadawały się do wycierania rąk, a tembardziej ust, więc najwyżsi nawet dostojnicy państwowi za czasów Karolingów poprostu oblizywali zatłuszczone palce lub wycierali je o ubranie.

Dopiero z biegiem czasu ponownie weszły w użycie obrusy płócienne, że jednak płótno było wówczas drogie, więc nie przykrywano całego stołu, lecz układano wzdłuż stołu wąski pas płótna, brzegi zaś stołu pozostawały odkryte.

Styczność ze Wschodem z czasów wojen krzyżowych przyczyniła się do rozpowszechnienia skłonności do przepychu. Wówczas to poczęto stoły przykrywać kobiercami, na które kładziono dopiero owe wąskie obrusy. Używano do tego kobierców kolorowych, najczęściej czerwonych, sprowadzanych z Lewantu. Dopiero za czasów Henryka IV we Francji i Jakóba I w Anglji zaczęto wyrabiać płócienne obrusy i zaniechano przykrywania stołu kobiercami. Na ówczesnych obrusach haftowano kwiaty, zwierzęta, nieraz całe sentencje i przysłowia.

Już w XVI wieku weszło w zwyczaj podawanie biesiadnikom wody do umycia rąk, ale niezbyt chętnie korzystano z tej inowacji, wobec czego poczęto wyrabiać coraz szersze i dłuższe obrusy, by mogły służyć do wycierania palców. Wówczas to najbardziej dostojnych gości wyróżniano w ten sposób, że dodawano im osobne kawałki płótna do wycierania rąk. Stąd pochodzi obecny typ serwetek. Wyraz ten pochodzi od włoskiego „salvietta“.

W XVI i XVII wieku „salvietta“ służyła również do przykrywania talerzy oraz puharów i ochrony przed muchami. Były więc wówczas one również ozdobą zastawy, to też suto je przystrajano haftem, malowidłami i złotem.

W następnych wiekach używanie obrusów i serwet rozpowszechniło się po całej Europie. Z biegiem czasu zarzucono zbyt ozdobne, a przez to samo niepraktyczne, a obok płóciennych i bawełnianych, czysto białych, ze szlakami i kolorowych, zaczęto używać obrusów i serwet czysto lnianych i takie utrzymały się do dziś.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Na konkurs otrzymaliśmy dotychczas następujące utwory: „Na Helu", „Łóżko śmierci", „Skąpiec", „Sen", „Baścyne odejście", „Chirocen", „Warcaby", „Przez młodość człowiek ptakiem przeleci — przez życie idzie oraczem". — Pp.: **Jacek Orlik** w L.: Wierszyki dobre, zamieścimy je więc w miarę miejsca. Co do szkicu powieściowego, to bez przeczytania rękopisu nic stanowczego powiedzieć nie możemy. Jeżeliby się nadawał do „Roli", to chętniebyśmy go zamieścili. — **Rom-Ort** w W.: Utwór konkursowy otrzymaliśmy, czy dobry, teraz nic nie możemy powiedzieć, gdyż uczynimy to dopiero po upływie konkursu. Zdaje się, że niektóre rękopisy Pańskie nie dochodzą rąk naszych, gdyż posyła je Pan, jako druk, a to jest niedopuszczalne. — **Fryderyk Empe** w Cz.: Nadesłane nam utwory nie odpowiadają warunkom konkursu, gdyż są pisane nieczytelnie ołówkiem, po obydwu stronach papieru i są dłuższe, niż na jedną stronę druku. — **L. D.** w B.: Nowelki poprzednio nadesłane mamy w tece; czekają na swą kolej. Trudno nam oznaczyć, kiedy będą zamieszczone, gdyż to zależy w największej mierze od miejsca. Zdarza się czasem tak, że już złożony w druku utwór leży w drukarni dwa i trzy miesiące, nim się pomieści w „Roli". — **Józef Serafin** w M.: Obydwa utwory dobrze napisane; będziemy starali się je zamieścić. — **Ferdynad Urbanik:** Wiersz dość dobry, choć trudny, popsuła ostatnia zwrotka. Wygląda, jakby niewykończony. — **Helena** K. w P.: Niech się Pani nie dziwi, że ten, o którym Pani tak z żalem wspomina, musiał się zrazić do Pani. Prawdziwa miłość, musi być bezwarunkowo bezinteresowna. Gdy tylko pomiędzy dwoje ludzi wchodzą jakieś względy pieniężne, tam wkońcu uczucie zniknąć musi, a pozostanie „geszeft". I nic dziwnego, bo wszystko kupić można, a prawdziwej miłości za żadne skarby świata nie kupisz. Widocznie wymagania Pani zraziły go i miłość uleciała. A szkoda jej, bo przecież miłość to cudowna rzecz! — **Jan Walczak** w N.: Pyta Pan, na kogo radzę głosować? Na nikogo, tylko na numer, a na który, to niech już Pana własny rozum pouczy. Głosować jednak trzeba, gdyż to nasz obowiązek obywatelski. — **Michał Leśniak** w N.: Na konkurs możemy otrzymać i kilkadziesiąt prac, a drukowanych z nich może być zaledwie kilka, a może kilkanaście, a nawet i wszystkie. Każdy utwór, o ile będzie napisany czytelnie, przeczytamy z całą przyjemnością i po upływie konkursu każdy z nich bezstronnie ocenimy. Praca to duża, ale przecież człowiek do pracy stworzony. — **Ludwik S.** w K.: W nadesłanych nam wierszykach znać talent, ale forma jeszcze niewyrobiona. Warto popracować, a rezultaty będą zupełnie dobre. — **Jan Czapla** w J.: Tylko niech Pan nie zwleka z kupnem rocznika 1928 r., gdyż z tych roczników mamy bardzo mało i do N. Roku mogą się wyczerpać.

Zagadki do nagrody.

1. Krzyżykówka.

(Ułożył Józek z Krakowa).

1	14			■	2		15	16
			■	17	■	3		
4		■	5			■		
	■	6					■	
■	7							■
18	■	8					■	19
	20	■	9			■	21	
10			■		■	11		
12				■	13			

Wyrazy czytane poziomo; 1) Wskazówka. 2) Napój. 3) Część twarzy. 4) Przyimek. 5) Przyrząd gimnastyczny 6) Obyczaje. 7) Jeden z założycieli Rzymu (postać mitologiczna). 8) Człowiek-maszyna. 9) gatunek kwiatu wspak. 10) Imię męskie. 11) Przegrana. 12) Przyczyna bólu, wspak. 13) Ochota do czego.

Pionowo: 1) Grzybek żrący metale. 14) Papuga. 15) Elektron, wspak. 16) Roślina. 17) Krzesełko wspak. 18) Część okrętu. 19) Część długu. 20) Taniec. 21) Rzeka.

2. Szarady.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R.).

I.

Na wielką pierwszą drugą Kasiunia choruje,
Żenić się z nią Maciuś ciągle obiecuje,
Lecz gospodarz mówią pierwsze pół dru-
[giego
Maciusiowi lanie; nie będzie nic z tego!
Znowu pierwsze trzecie przy czapce znaj-
[dziecie,
Zaś całość to miasto biblijne jest przecie.

II.

Kupił sobie Maciuś pierwsze drugie trzecie,
Bo teraz jest wielkim dygnitarzem w świe-
[cie
Trzeci pół czwarty, poezji w księgarni ku-
[piłem,
Jednak na nieszczęście po drodze zgubiłem.
Będąc w Krakowie w szachy w Maćkiem
[grałem,
Lecz że to gracz nielada, więc czwarty do-
[stałem.
Całość jest to przyrząd, co wiele kosztuje,
Bez pomocy ludzi gości obsługuje.

III.

(Ułożył Fr. Klimeczko z W.).

Druga trzecia stoi tylko latem w polu,
Pierwsze drugie pół czwartego ma człon-
[ków wielu.
Do całości trzecie pół czwartego jedzie
A drugie pierwsze wolny w okolicy ży-
[wot wiedzie.

3. Układanki.

(Ułożył K. Bień z T.).

Odległość inaczej + moja inaczej + kij = strój liturgiczny.

Ryba + samogłoska + zaimek osobisty = góry polskie.

Zaimek osobisty + zwierzę + litera fonetyczna = gad.

Ryba + karta + samogł. = wytwór masarski.

Część stroju + litera fonetyczna + litera fonetyczna = flaszka.

Ptak + przyrząd rybacki = malarz.

Samogł. — „pan" w obcym języku + litera fonetyczna = spinka.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 31 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 41 „Roli": 1. Logogryf: Nowe wybory do Sejmu. 2. Szarady: I. Barany. II. Saloniki. III. Sarajewo. 3. Logogryf Stefan Batory. 4. Kalambury: I. Stalin. I. Grypa.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali pp.: Mieczysław Romanowicz z K., Józef Gasiński z B., Piotr Glica z S. G., Jan Gara z W., Jan Koza z L., Stanisław Piegza z W., Ks. Karol Stypuła z N., Jan Sadowy z H., Michał Żelazny z M., Ks. Jan Domino z W., Józef Górecki z K., Józef Topolski z B., Franciszek Niedbała z T.

Nagrody wylosowali pp.: Jan Sadowy z H. i Stanisław Piegza z W.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Piękne za nadobne.

Dwóch ludzi spotkało się na wąskim zaułku i żaden nie chciał drugiemu ustąpić z drogi. Jeden z nich rzekł uparcie: — Ja nigdy głupcowi nie ustępuję z drogi!

— A ja chętnie — odpowiedział drugi, usuwając się z grzecznym ukłonem.



W sądzie.

— Powiedz mi obwiniony, jaki był ten kamień, którym rozbiłeś głowę skarżącemu?

Oskarżony milczy nie rozumiejąc.

— No, czy był np. taki jak arkusz papieru, co go trzymam w ręce?

— Ta niby tak, proszę wysokiego sądu, tylko trochę grubszy.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 17 października b. r.

Pszenica	27·50—28·00	Słoma długa	6·00—6·50
Żyto .	19·00—19·50	Ziemniaki stoł.	5·50—5·60
Owies . .	22·00—22·50	Koniczyna na-	
Jęczmień .	20·00—20·50	sienn. czer.	000·00—000·00
Fasola biała	00·00—00·00	Mąka żytnia	34·50—35·00
Groch zwyk.	34·00—36·00	Mąka pszen.	57·00—57·00
Siano słodk.	12·00—13·00	Otręby pszen.	13·00—13·50
Łubin żółty	26·00—27·00	Otręby żytnie	12·00—12·00
Konicz. pastew.	14·00—15·00	Mąka czerw.	15·00—16·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 17 października b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 0·87 do 1·34 zł.	Jałownik	od 0·80 do 1·37 zł.
Woły . .	od 0·92 do 1·40 zł.	Cielęta .	od 1·00 do 2·20 zł.
Krowy .	od 0·80 do 1·35 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·40 do 2·35 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·20 do 2.60

Na wsi.

— Czego tak beczysz? Czy wam kto umarł?

— Tatunio, prosę wielmoznego pana.

— Nie może być! A długo chorował?

— Juścić.

— A mieliście doktora?

— Dotąd nie, ale kiedy się tatusiowi gorzej zrobiło, toby my byli doktora wzięli.

Adwokat Dr. D. Bulwa

Kraków, Grodzka 49 II. piętro powrócił i urzęduje jak dawniej.

Znakomite płótna

na wszelkie bielizny, także stołowe i pościelowe, białe i kolorowe. — Silne materje, cajg, struks. — Dymki, ręczniki, chusteczki, ścierki, sienniki, drelichy, leżaki, chodniki i t. p. wyroby po cenach konkurencyjnych poleca:

I. JÓRASZ, Przemysł Tkacki, KORCZYNA, pow. Krosno.



Instrumenta MUZYCZNE

dęte i smyczkowe oraz części zapasowe do tychże. — Stare instrumenta naprawia, zestraja lub wymienia na nowe

J. A. NIKIEL

Kraków, Szewska 2.

Wszelkiej porady przy zakładaniu i kompletowaniu zespołów orkiestralnych udziela bezpłatnie, za nadesłaniem znaczka pocztowego.

Kupujcie wprost u wytwórcy!

Powroźnicze

wyroby pierwszorzędnego wykonania jak:

Liny konopne transmisyjne dla fabryk i kopalń, budowlane, do żeglugi i rolnictwa, wyroby do rybołóstwa, linki strażackie, turystyczne, drabiny linowe, sznury białe i szare, postronki na uprząż, lejce, uździenice, pasy, taśmy, szpagaty, hamaki, huśtawki, siatki, konopie czesane pakuły do uszczelnień i t. p. dostarcza:

Fabryka Powroźnicza

Stanisława Wałkowińskiego

w Krakowie-Zwierzyniec ul. Lelewela 11.

Wysyła monterów do lin transmisyjnych.
Sprzedaż częściowa i hurtowna.
Cenniki na żądanie.

Uwaga na dokładny adres.

Okładki na „Rolę“ na r. 1930 są gotowe po nadesłaniu 2·20 zł. wysyłamy. Są też okładki 1927, 1928 i 29.

Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy jeszcze w zapasie. Wszyscy nowi Prenumeratorzy dla całości rocznika mogą je nabywać.

Papę do krycia dachów i izolacji, smołę górnośląską, wapno, gips, cement, cegłę, trzcinę itp.

poleca w najlepszych gatunkach, po najniższych cenach od 45 lat istniejący skład p. f.

A. Guzikowski

Obecnie K. z Guzikowskich Rzegocińska

Kraków, Rynek Kleparski 8.

Telefon 0264.

Aleksander Wnękowski

Introligatornia

Kraków, ul. św. Sebastjana L. 11.

oprawia książki pojedynczo i w większych nakładach, wykonuje starannie, po cenach niskich.

Rok zał. 1900.

Ważne dla kobiet!



Pasy brzuszne

przy opadnięciu żołądka, ciąży i po porodzie

poleca:

Pracownia bandaży i gorsetów

R. Bogdanowicz Kraków, ul. Florjańska 9 w podworcu.

Dla PP. Akuszerek rabat.

KONCESJONOWANE

Kursy kroju i szycia

„Józefina“

Kraków, ul. Długa 11

rozpoczynają się 1 i 15 każdego miesiąca. Przyjmuje się dziewczęta nawet z szyciem nieobeznane. Wpisy codziennie od 9 do 6 wieczór. Dla zamiejscowych mieszkanie zapewnione.

Przyjmuje się wszelkie roboty w zakres hafciarstwa wchodzące po cenach bardzo niskich. Robota solidna i sumienna. Adres: **Sklep Kółka Rolniczego w Żarnówce** poczta Maków.